

LEGENDY POWIATU GLIWICKIEGO

O ZOMKACH I ICH PONACH

Dzwony zapadniętego kościoła

(na podst. „Gawędy z przeszłości Górnego Śląska” – oprac. Wiesława Korzeniowska,
Instytut Śląski w Opolu 1990)

Nie posiadał się ze szczęścia młody właściciel **Pławniowic** i tamtejszego pałacu, że wreszcie wraca do domu. Przez kilka długich lat walczył na wojnie z Niemcami. Wracając z niej zatrzymał się na popas i odpoczynek w dużym, bogatym dworze. Właściciel tego bogatego dworu był już w podeszłym wieku, ale miał piękną i młodzieńką żonę i dwoje małych dzieci. Między młodymi wnet zawiązała się nić sympatii. Gospodyni zatrzymywała gościa, a on z przyjemnością przedłużał swój pobyt. Nie można było jednak w nieskończoność nadużywać gościnności, toteż młody woj zdecydował się wreszcie opuścić przyjazny dwór. Nie zdołał jednak ujechać daleko, gdy dopędziła go konno właścicielka. W tajemnicy przed wszystkimi opuściła męża i dzieci. Zaklinała teraz ukochanego, że żyć bez niego nie może, a jeśli ją odepchnie, nie wróci do domu, lecz utopi się w stawie.

Młodzieniec zaskoczony i zakłopotany takim obrotem sprawy, nie chcąc mieć jej na sumieniu, zabrał kobietę do swoich włości w Pławniowicach. Tu nakazał służbie, by traktowała panią jako jego żonę, by o nią dbała tak, aby niczego jej nie brakowało. Sam zaś niespodziewanie nocą opuścił dom. Dla ukochanej zostawił list informujący, że musiał nagle wyjechać na wezwanie księcia i wolałby już nie wrócić, gdyż niepokoi go sumienie z powodu krzywdy wyrządzonej jej mężowi i dzieciom. Ponieważ jednak opuściła ich z miłości do niego – zostawia jej cały swój majątek, by dysponowała nim jak własnym. Był to straszny cios dla zakochanej kobiety. Nie myślała jednak wracać do rodziny. Zdecydowała, że będzie czekać na ukochanego. Mijały lata, a pan Pławniowic nie wracał. Wtedy, czekając go daremnie, postanowiła przebłagać Boga za swe winy i zbudować na wzgórzu kościół. Na ten cel przeznaczyła pieniądze, które zabrała z domu i część majątku z Pławniowic.

Kościół rósł szybko i wkrótce zaczął dominować nad okolicą. Wreszcie, gdy wszystko było już gotowe, odetchnęła z ulgą, wierząc, iż tym sposobem zmazała winę wobec własnych dzieci. Nastął dzień, w którym miały się odbyć w nowej świątyni pierwsze oficjalne uroczystości. Gdy wszystko przygotowano, rozpetęła się straszna burza. W kościół uderzył grom i cała budowla zapadła się na zawsze pod ziemię. Starzy ludzie opowiadają, że w Wielkanoc słyszą czasem spod ziemi głosy zapadniętych kościelnych dzwonów.

Zwôny zapadniônego kościoła

Łokropicznie rod bôł mody właściciel **Pławniowic** i tamtyjszego dwora, że już szôł nazod do dômu. Pora rokôw bôł na wojnie z Germanami. Po drôdze zatrziomł sie ze koniami we wielkim dworze na popas i odpoczynek. Pôn tego bogatego dwora miôł swoji lata, ale miôł gryfno modo baba i dwoje małych dziecek. Fest go ugościli, a paniczowi ze Pławniowic łokropicznie się to podobało i bôł tymu rod, że może tam łostać. Podobała mu sie tyż gospodyni, a i łona bôła mu rada tym tupłym. Trocha zeszło, ale panicz niy môg przeca za dugo tam siedzieć, bo by im się zmierznył. Wziôn i pojechał. Jak bôł już na drôdze, usłyszôł za sobom rajtowanie kônia. Ganc zgupioł, jak ujrzoł, że na kôniu gzuje ku niymu ta modo ze dwora. Dowiedziôł sie, że żodnymu nic niy pedziała, łostawiyła chopa i dziecka, fest mu przaje i chce śnim być. Niy może już bez niego żyć, a jak jom niy bydzie chcioł, to sie utopi. Karlusowi aż halt pizło. Niy chcioł jom mieć na sumiyniu i wznion jom do Pławniowic. W doma przikazoł suźbie, coby jom szanowała, keby to bôła jego baba. Nic ji niy może brakować. Ale sumiynie fest go

gryzło, niy umioł sie z tym poradzić. We nocy łoroz wyjechoł. Łostawiół ulubionyj pismo, w kerym napisoł, że musi stawić się u ksiyńcia i może być, że już nazod niy przijedzie. Tak bydzie lepi, bo wiy, że ukrzywdziół jeji chopa i dzieci. Miarkuje, że zrobiyla to ze miłowanio i bezto zostawio ji cołki majõntek, by miała sie dobrze. Modo pani ogromnie sie tym przejanya. Niy chciała nazod jechać do chopa i dzieci, ale zaparła sie, że bydzie na umiłowanego czekać. Rok za rokym mijoł, a właściciel Pławniowic niy przijyżdżoł nazod. Jankor targoł serce mody pani, boła sie tyż Bożygo gniewu, i żeby Põnbõczka przebłagać, postanowiyla za piniõndze przywiezione ze sobom i ze czynści majõntku z Pławniowic – zbudować na gõrce kościół. Kedy kościół bõł już gotowy, mody pani zrobiło sie lży. Zdało sie, że Põnbõczka przeprosiyla za to, że łostawiyla dzieci. Prziszoł dziyń poświyncynio kościoła. Jak już wszystko bõło fertig, naroz zrobiła sie ćma, zamłoło, zagrzmioło, a pierõny praskały. Jedyn piznył we kościół i cołko świõntynia zbulyla sie i zapadła pod zymia. Starziki ze Pławniowic godajõm, że na Wielkanoc idzie słyszeć spod zymi zwõny.

Biała Dama

(legenda prezentowana podczas IV Konkursu Wiedzy o Powiecie Gliwickim)

*Podobno co roku o północy, w pierwszym dniu Świąt Wielkanocnych, gdy księżyc oświecła ruiny **toszeckiego zamku**, z jego podziemi wylania się duch odzianej na biało pani. Długo snuje się ona po rozległym dziedzińcu, zagląda do okien, pochyla się nad starą studnią i znika za basztą.*

Jak głosi legenda, wspaniałym zamkiem słynącym z tego, że miał tyle okien, ile dni, tyle komnat, ile nocy i tyle baszt i wieżyczek, ile miesięcy w roku, władał niegdyś okrutny graf. Drżeli przed nim poddani, których niehumanitarno karał za byle przewinienia. Wymagał też od nich bezwzględnej posłuszeństwa. Opornych zaś wtrącał do lochów, z których nie było ucieczki. Graf miał wiernego sługę, ojca młodej i pięknej córki. Kochał sługę swoje dziecko nad życie. Tego nie mógł tolerować okrutny pan. Wymagał od sług miłości i uwielbienia tylko dla siebie. I chociaż zbliżały się Święta Wielkanocne, wyprawił sługę z poselstwem do Gliwic. Sam zaś wtargnął do komnaty jego córki, która właśnie przebierała się w białą koszulę do snu. Chwycił dziewczynę za włosy, owinął jej głowę prześcieradłem i wywłókł na dziedziniec. Tam poturbowaną udusił i wrzucił do studni. Sługa powróciwszy do zamku, długo szukał swojej córki. Nie znalazł jej, ale od innych sług dowiedział się, co zaszło na dziedzińcu zamkowym. Wtedy oszalały z wielkiego bólu zapadł na ciężką chorobę. Leżąc na łożu śmierci rzucił straszne przekleństwo na zamek „Zgiń, przepadnij, zamień się w stertę cegieł i gruzu!”. Klątwa spełniła się już niebawem. Graf umarł w straszliwych męczarniach, a zamek nawiedził ogromny pożar.

Podobno Biała Dama, chodząc po zamku w ciemną wielkanocną noc, szuka ojca. Ukazuje się niektórym ludziom, ale tylko tym, którzy choć troszeczkę w nią wierzą.

Biało Dama

Godajõm ludzie, iże każdego roku, ło północy na Wielkanoc, we piyrszym dniu świõnt, kedy miesiõnczek łoswiytło **toszecki zomek**, ze jego podziemi wylazi duch pani we białych łoblyczkach. Duch łazi po dziedzińcu, wszyndy zaglõndo, łowdy kedy dziwo się do studnie, a potym zniko, traci sie za basztõm. Jako powiãdo bojka, tym zomkym, co mioł tela łokyn, wiela jest dni, tela izbów, wiela nocy, tela baszt i wieżyczek, wiela miesiyncy w roku, rzõndziół łoszkliwy grof. To bõł łokropiczny strup z niego. Boli sie go poddani, bo tyż koroł ludzi za bele co. Musieli go suchać na każdym kroku. Wto go niy suchoł, szoł do lochów, a stamtõnd niy bõło już retõnku. Grof mioł wiernego suzõncego. Tyn łostatni zasik mioł

przepiynko cera. Bôła gryfno i miyło. Łojciec przoł ji nad życi. Z tym zaś nie umiał się pogodzić grof. Niy môg spokopić, czamu sużôncy niy łonego, ale swoja cera tak kochał. Prziszyły Świynta Wielkanocne. Grof posłoł sużôncego do Glywic, a som zaś na siyła wloz do izby jego cery. Dziołszka akuratnie łoblykała bioło koszula i rychtowała sie do spanio. Pomstliwy grof chyciôł jôm za wosy, owinôł gowa biołôm płachtôm i zasmyczôł na plac. Tam poczaskano udusiôł i wciepôł do studnie. Jak prijechoł nazod sużôncy ze Glywic, to dugo szukoł swoja cera. Dopiyro ludzie mu pedzieli, co sie stało na dziedzińcu. Ze wielkigo jankoru za cerom ciynszko zachorowoł. Na łożu śmiyrcei, jak już ta śmirtka po niego prziszyła, przeklon zomek: „Zgiń, przepadni, zamiyń sie we kupa ceglówek i gruzu”. Niydugo trza bôło czekać – grof umrzył we ciynżkich mynczarniach, a zomek się spolył. Bezmała Bioło Dama chodzi we wielkanocno noc po zomku i szuko boroka łojca. Pokazuje sie yno tym, kerzy w to wierzôm. Aby trocha!

Złota kaczką

(na podst. opowiadania mieszkanki Toszka oraz tekstu prezentowanego na konkursie legend z terenu powiatu gliwickiego przez Ewelinę Jajczyk, przygotowanego pod kierunkiem Katarzyny Makowskiej)

Dawno, dawno temu **toszecki** zamek zamieszkiwał hrabia von Gaschin (dziś jego nazwiskiem nazwano zamkową galerię). Był bardzo bogaty. Ożenił się z ubogą, lecz bardzo piękną i szlachetną panną z podprudnickiego dworu. Młoda żona od razu nie spodobała się służbie. Była wyszydzana i na każdym kroku jej dokuczano. Dziewczyna czuła się w zamku bardzo samotna, nie mogła się przyzwyczaić do bogactwa i przepychu nowego domu oraz do nieszczerości swoich sług. Jej żal wzmagali częste wyjazdy męża za granicę, w których nie mogła brać udziału. Przed jednym z takich wyjazdów młoda małżonka obwieściła swemu wybrankowi, że właśnie spodziewa się potomka. Szczęśliwy mąż, żegnając się z wylęknioną żoną, z radości na wieść o dziecku podarował jej wspianą rodzinny klejnot przekazywany z pokolenia na pokolenie. Była to naturalnej wielkości złota kaczką siedząca na jedenastu złotych jajach, z których każde podobno wypełnione było kosztownymi dukatami. Hrabina bardzo się ucieszyła z prezentu, który miał umilać jej godziny rozstania z mężem. Minęło kilka tygodni. Pewnej marcowej nocy 1811 r. sen hrabiny przerwała luna światła. Okazało się, że wybuchł bunt służby i zamek stanął w ogniu. Wszyscy zdążyli uciec z obiektu, młoda pani pozostała sama. Prerażona nie wiedziała, co robić, bo ogień wdzierał się już do jej komnaty. Nie mogła uciec głównym wyjściem, bo żar i dym z płonącej klatki schodowej podchodziły coraz wyżej. Nieszczęsna hrabina, zalewając się łzami, oparła się o konsolkę stojącą pod lustrem. Nagle jedna ze ścian drgnęła i odsunęła się, ukazując tajemne schody do podziemi. Hrabina odruchowo złapała złotą kaczkę stojącą na sekretarzyku i zbiegła w dół. Długo błądziła po mrocznych korytarzach, coraz bardziej zmęczona i głodna. Wreszcie zobaczyła światło. Ostatkiem sił dobiegła do owej jasności. Wtedy okazało się, że od zbawionego wyjścia dzielą ją metry nie do przebycia bez drabiny. Okienko było tak wysoko... Dziewczyna bezskutecznie przez długie godziny wołała o pomoc. Wreszcie zziębnięta i zrezygnowana zaczęła głośno płakać. Łzy pociekły na złotą kaczkę, która pod ich strumieniem wyszła z koszyka i zaczęła pływać we łzach swej pani. Hrabina niestety umarła z wycieńczenia i głodu, a złota kaczką prawdopodobnie nadal pływa gdzieś w podziemiach i pilnuje szczątków swej pani.

Jak mówią stare przekazy, złotą kaczkę może odnaleźć śmiałek urodzony w niedzielę, jeśli w pierwszy dzień Wielkanocy zejdzie do podziemi i wiedziony dobrymi intencjami pójdzie przed siebie...

Złoto kaczką

Za starego piyrwy na zomku we **Toszku** miyszkoł hrabia von Gaschin (terozki tak nazywo się galeryjo we zomku). Hrabia bôł fest bogaty. Łożyniôł się zaś ze ubogôm, ale bardzo gryfnôm i grzecznom frelkom ze podprudnickigo dwora. Młodo pani jednakowôz niy spodobała się suźbie. Łobgadywali jom, pośmiywali się snij, robiyli ji nasprzyk – mieli jom za ciuémoka. Beztôż tyż czuła się źle na zomku. Mierziło jom bogactwo ślubnego i cygaństwo sużôncych. Jeji chop cyngym jeździôł fôrt i łostowała sama we dworze. Roz przed wyjazdem pedziała mu, że jest przy nadzieji. Chop się ucieszôł, był tak bardzo rod, że bydom mieli potomka, że przy pożegnaniu doł ji gyszynk – familijny klejnot. Bôła to złoto kaczką co siedziała na jedynastu złotych jajkach. Każde jajco nafilowane bôło złotymi dukatami. Kaczką bôła tak srogo jak prawdziwo. Hrabina wiedziała, że chop ji fest przaje i bardzo bôła rada gyszynkowi. Za pora tydni, we marcu, w nocy 1811 roku łobudziła jom flama. Cołki zomek się polôł, a zbuntowano suźba uciykła. Pani łostała sama i niy wiedziała, co robić, bo flama łognia bôła już kole jeji izby. Niy miała keryndy uciekać. Niyszczynsno hrabina wołała retunku i na łostatni driker oprzyła się ło szranczek pod zdradłym. Narozki jedna ściana się łotwarła. Pokozały się tajne słody do jakiś pywnice. Hrabina łapsła złoto kaczką i poleciała słodami na dół. Dugo bamonciyla po lochach, a bôła corosto bardzi usztuchano i miała głôd. Łoroz uwidziała światło. Durś ufuczano doleciała do tych jasności, ale bez drabiny niy mogła się dostać do wyńscio. Łokno bôło za wysoko. Pani dugo i podarymnicy wołała o pomoc. Na koniec zmarzniono i słabo zaczęła ślimtać, a płaczki ślatowały na złoto kaczką. Naroz złoto kaczką wylazła ze koszyka i zaczęła pływać we płaczkach swoji pani. Hrabina jednak niy łobstoła i umrzyła, a złoto kaczką dali pływo kańsik we lochach i dowo pozôr na szczôntki swoji pani. We starych łospawkach godajom, że złoto kaczką ze piniôndzami może znejść yno tyn, co się urodziôł we niydzia i mo czyste serce. Niy może tyż być interesowny i chamiaty. Tyn istny może szukać złoto kaczką yno we piyrszy dziyń Wielki Nocy.

Skarb złotej kaczką

(tekst prezentowany na konkursie legend z terenu powiatu gliwickiego
przez Kamila Głogowskiego – zdobywcę I miejsca - przygotowany pod kierunkiem Donaty Podkowy)

*Dawno, dawno temu, podczas wypasania gęsi na wzgórzu zamkowym w **Toszku**, jedna z nich nagle zaginęła. A że była to gęś najłusćciejsza, jej właściciel z płaczem zaczął jej szukać. Nagle między krzakami natknął się na wejście do zamkowych podziemi. Chłopak trochę bał się sam tam zapuszczać, bo dobrze pamiętał, co babka opowiadała mu o diabłach, które spotykały się w zamkowych piwnicach. Jeśli napotkały tam człowieka – zmuszały go do gry w skata na pieniądze, a tego, kto przegrał – nigdy już nie wypuszczały. Jednak pasterzowi żal zrobiło się gęsi, która mogła zdechnąć z głodu i wszedł do podziemi. Przeszukując wszystkie zakamarki, nagle usłyszał odległe gęganie. Poszedł przed siebie i w jednej z piwnic zobaczył swoją gęś i... złotą kaczkę siedzącą na jedenastu złotych jajkach oraz mnóstwo złotych monet rozsypanych dokoła. Nagle usłyszał dziwny głos: „Weź tyle złota, ile zmieści ci się w kieszeniach”. Chłopiec nabrał trochę złota i wyszedł na powierzchnię z gęsią pod pachą. Gdy koledzy zobaczyli, że ma w kieszeniach tyle złota, że aż się z nich wysypuje, chwycili się za głowę i od razu o wszystko go wypytali. Nawet nie czekali, aż opowie im do końca swoją przygodę i popędzili szukać tego skarbu. Ale kiedy wbiegli do podziemi, piwnice zapadły się i nie wyszli z nich do dziś, bo tak kończy każdy, kto chce mieć wszystko dla siebie.*

Skarb od złoty kaczki

Downo, downo tymu na zomkowy gôrce we **Toszk**, kedy pastyrze paśli swoje gynsi, jednemu z nich straciła sie jedna, a bôła to najtuściejszo ze wszystkich. A kedy łon jôm szukoł z bekiym we krzokach, to znod dźwyrze do pywnic zomkowych, ale boł łon sie tam wlyźć, bo mu starka łosprowiali, że tam dycki diobły sie spotykały i tyn, co tam wlezie, to zaciongajom go do granio we szkata na majôntek i jak przegro, to i tak go już nie wypuszczajôm yno go przekabacôm. Ale żoł mu bôło tyj gynsi, żeby niy zdechła z godu i wloz rajn. Kedy łon tak szukoł i kukoł do koždy dziury, to zaś z daleka słyszol gynianie. Jak szoł naprzôd, w jednyj z pywnic znoloz swoja gyns i... złoto kaczka, kero siedziała na jedynostu złotych jajcach i kole nich bôło rozsutyh kupa złotych klepcioków. A naroz usłyszol jakiś dziwny głos: „Weź tela złota do kapsów, wiela ci wlezie”. Wzion łon trocha złota i wyloz z gynsiom pod parzom na dwôr. Kedy kamraty widzieli, że mo w kapsach tela złota, że aż sie mu wszyndzie suje, chycili sie za łeb i zarozki wypytali go ło wszystko. A łon ani niy zdônżył im do końca łopedzieć i ci polecili szukać tego skarbu. Ale kieł łoni tam wparzyli, to te pywnice sie zawalyły i nie wyleżli do dzisiej, bo tak skończy koždy, co by chcioł mieć wszystko do sia.

Zakonnica, która uciekła z klasztoru

(na podst. opowiadania Przemysława Nocunia – prezesa Fundacji „Zamek Chudów” oraz tekstu prezentowanego na konkursie legend z terenu powiatu gliwickiego przez Sylwią Szulc, przygotowanego pod kierunkiem Tatiany Kowalskiej)

*Dawne przekazy mówią, że jeden z właścicieli **chudowskiego** zamku, nie znany bliżej z imienia rycerz, kiedyś wybrał się do Czech i poznał tam precudnej urody kobietę – podobno zakonnice. Zakochał się w niej szaleńczą miłością. Dziewczyna odwzajemniła jego uczucie i zgodziła się na ucieczkę z klasztoru. Przybyła z rycerzem do Chudowa, gdzie pobrali się i zamieszkali w zamku. Nie mogło to być jednak w porządku względem Boga, więc spadła na nich kara - młoda żona szybko zachorowała i niedługo potem zmarła. Pogrążony w bólu i rozpacz mąż pochował ją na pobliskim cmentarzu. Podobno już pierwszej nocy po pogrzebie duch pięknej pani zjawił się w zamku i od tej pory co noc odwiedzał swojego męża, skarżąc się jednocześnie, że trudno jej dojść do domu ze względu na czyhające wszędzie wilki i gęszcz lasu. Wobec tego zakochany małżonek wybudował tajemne przejście łączące zamek z grobowcem. Po jego śmierci kobieta przychodziła do zamku nadal. Prawdopodobnie jest to pokuta, która trwa do dziś i dlatego niektórzy z turystów odwiedzających zamek spotykają piękną, ale smutną kobietę w czerni, która snuje się wśród ruin, żałując za swoje grzechy.*

Ma też zamek swoją Białą Damę. Nazywała się Julianna. Od kolebki przeznaczono ją bogatemu hrabiemu. Okazało się jednak, że 16-letnia hrabianka pokochała garderobianego. Rozgniewany hrabia zgładził go, Juliannę zaś w sukni ślubnej zamurowano żywcem. Jej duch do dziś w białej szacie błąka się w okolicy ruin.

Klasztorno panna, co pitła ze klasztoru

Starzi ludzie godajôm, że jednym ze właścicieli **chudowskiego** zomku, bôł rycerz - bez znanego miana – kiery kiedyś pojechał do Czech i tam poznoł przepiynko frela – mi sie zdo klasztorno panna. Rozmiałowol sie w ni bez pamiyńci. Frela bôła mu rada i przistała na to, coby pitnąć ze klasztoru. Przijechała ze rycerzym do **Chudowa**. Tam ożynił sie z niom i zamiyszkali we zomku. Ale to niy bôło tak jak Pônôczek przikazoł i bezto ciynżko jich

pokoroł. Modo baba łod rycerza zaniymogła i umrzyła. Rycerzowi prawie syrce pynkło ze bôłu. Pochował jom na kerchowie. Ludzie godajôm, że już we piyrso nocka po pogrzebie duszyczka gryfny pani prziszła do zomka i potym co nocka chodziła na byzuch do ślubnego. Godała mu, że ciynżko ji przichodzić, bo som w chaszczach wilki. Rycerz prziszoł po rozum do gowy i wybudował podziymny loch, kerym szło dôńść ze kerchowa do zomku. Jak rycerz umar, to pani jeszcze przichodziła do zomku. To bôła do ni pokuta. Jeszcze terozki, łowdy kedy idzie trefić sie ze łobleczonôm po czornu babôm, kero szwyndo sie miyndzy ruinami i żałuje za grzychy.

Zomek mo tyż swoja Bioło Dama – Julianna. Łod kolybki miała wybranego chopa, kerym był hrabia. Jak miała łona szesnoście lot, to przysiyngła miłość zomkowemu sużôncymu, kery zajmował sie szatami. Znerwowany hrabia zabił robotnika, a Julianna zamurował żywcym w zomku. Jeji duch do dzisiej w bioły szacie łązi wele ruinôw zomka.

Skarby zamku w Ciochowicach

(na podst: Bernard Szczech: „Legendy i podania dotyczące Gliwic oraz ziemi gliwickiej (cz. I)”; „Rocznik Muzeum w Gliwicach” t. XIX – 2006 r.)

O rozwalinach zamku w **Ciochowicach** niedaleko Toszka mówi lud, że tam w piwnicy zamkniętej żelaznymi drzwiami mają się ogromne skarby znajdować. Kusiło się już wielu o ich zdobycie. Zabierali oni i księży ze sobą, zaopatrzonych różnymi świętościami, lecz nadaremnie, bo drzwi na żaden sposób otworzyć się nie dało i ci, co je otworzyć chcieli, dreszczem przejęci uciekli, słysząc głos z tamtej strony: - Nie masz tu sprawy. Powiadają, że dopiero ten gospodarz skarbów tych dobędzie, któremu się wraz urodzą bliźnięta i dwa cielęta.

Skarby we zomku we Ciochowicach

Ło tym co łostało ze zomku we **Ciochowicach** kole Toszka ludzie godajom, że tam we pywnicy, za srogimi zieleżnymi dźwyrzami skryte sôm wielkie skarby. Kusiło to tyż niyjednego. Ci, co tam sznupali, brali ze sobôm kapelônków, coby wyświyncili te miejsce, ale po darymnicy. Dźwyrzów niy dało sie łotworzyć, a ci co tam chcieli sie dostać, to pitali jak diosi, jak słyszeli głos z tamty strony dźwyrzy: „Niy mosz tu sprawy!”. Ludzie godajôm, że tymu gospodorzowi, kerymu naroz urodzôm sie bliźniynta i dwa cieliki, to udo sie łotworzyć te zieleżne dźwyrze. Ale taki sie jeszcze niy trefiôł.

Hrabia z Byciny

(tekst prezentowany na konkursie legend z terenu powiatu gliwickiego przez laureatkę II miejsca Krystynę Wolny - przygotowany pod kierunkiem Katarzyny Makowskiej)

Był sobie hrabia z **Byciny**, a nazywał się Albert Leopold Paczyński. Miał swojego ulubionego wierzchowca, z którym rozstawał się tylko na noc. Kazał wznieść niskie i szerokie schody z potężnych bali dębowych, aby móc konno wjeżdżać wprost do komnat na pierwszym piętrze. Rumak znał dobrze zwyczaje swojego pana i skoro świt, budził stajennego, domagając się obroku i siodła. Wypuszczony na wolność, dla odprężenia, galopował chwilę po parku, a potem cicho, żeby nie robić rumoru, niczym kot wspinał się po schodach, stawał przed drzwiami i z lekka stuknął w nie nogą. Nie musiał długo tu stać, bo jego pan jakby czekał na ten umówiony znak i zaraz był gotów do drogi. Pewnej nocy koń hrabiego, jakby przeczuwając jakieś nieszczęście, wyrwał się ze stajni, dwoma susami przeskoczył schody, dopadł drzwi na piętrze i stuknął w nie kopytem tak mocno, że omal nie wyleciały z zawiasów. Przerażony hrabia na oklep skoczył na grzbiet swego rumaka. Służba wiedziała tylko tyle, że obaj- pan i jego koń- znikli w czeluściach podziemi.

W chwilę potem do zamku weszła śmierć.

- Nie ma hrabiego – odpowiedziała służba. – Jest już pod ziemią.

- Pod ziemią? – Zdziwiła się śmierć. Poszukała coś w swoich rzeczach, pokiwała trupią czaszką i zawróciła: - Musiała nastąpić pomyłka.

Rano sługa opowiedział swemu panu, co się wydarzyło nocą i kto przyszedł w odwiedziny. Trochę się zmartwił, ale nie stracił fasonu.

- Ona tak szybko nie da się zbić z tropu i na pewno wróci tu jeszcze tej nocy. Trzeba ją znów czymś przepędzić...

Chodził długo po komnacie i rozważał. Wreszcie wezwał służbę i kazał jej wieczorem przyodziać się w żałobne stroje.

O północy istotnie śmierć ponownie zastukała do drzwi:

- Prosić, prosić! – zawołał hrabia i zaraz dodał: - A kogóż to, waćpanna szukasz po nocy? Starszy hrabia już dawno pod ziemią, co może poświadczyć szlochająca jeszcze służba, którą tak samo jak i mnie widzisz w żałobie, a ty, kostucho, chcesz jeszcze dalszej ofiary? Czy nie przeoczyłaś czegoś w swych obliczeniach? Nie chcesz chyba, abym za takie przestępstwo ściał ci głowę moim herbowym toporem, co?

Śmierć znów sięgnęła do swojego rejestru. – Przepraszam, a jednak się pomyliłam... I czym prędzej się wyniosła się z zamku.

Hrabija z Byciny

Bół se hrabija z **Byciny**, a zwoł sie Albert Leopold Paczyński. Miał se ulubionego kônia, z kerym rozstował se yno na noc. Kozoł postować niske i szyroke słody z fest wiyłkich bali dymbowych, aby móg wjyżdżać prosto do izbów na piyrszym sztoku. Kôn znoł fest zwyczój swego pôn i wczas rano, budziół stajynnego, bo chciół mieć wyciępany gnôj i siodło na grzbiecie. Wypuszczôny na frajnina lotoł se po łônce, a potym, żeby niy robić larma, jak kater leciół po słodach. Stowoł wele drzwi i walół w nie kopytym. Niy musioł dugo stoć, bo jego pôn wachowoł na tyn znak i zaro bół fertig do rajzy. Jedny nocy kôn hrabijego choby czuł, że coś niy bydzie grało, uciyk ze szopy i przileciół pod izba pôn. Walół tak fest, że drzwi prawie furgły z fuczínów. Wylynkany hrabija pryntko skoczół na kônia. Pomagierzy wiedzieli yno tela, że pôn i kôn stracyli se pod zymiom.

Zaro po tym do zumku wlazła śmierćka.

- Niy ma hrabijego – pedzioł pomagier – je już pod zymiom

- Pod zymiom? – dziwiół sie śmierćka. Posznupała coś we swoich szpargałach, pokiwała gowôm i poszła nazot. – Musiałach się omylić.

Rano pomagier pedzioł pônowi, co się dzióło w nocy i kto prziszół na byzuch. Hrabija leko sie znerwowoł, ale czimoł sie dali.

- Łona tak gibko niy do se zbamońcić i przidzie sam jeszcze roz. Muszyny jôm jakoś przegônić.

Chodziół dugo po izbie i se dumół. Ryknół na pomagierów i pedzioł, że na wieczôr majôm se oblyc trauerowe łachy.

Ło dwanosty w nocy śmierćka zaklupała do wrot:

- Włazić, włazić – ryknół hrabija i pedzioł – kogo sam szukosz po nocy? Storszy hrabija już downo w trule leży, a pomagierzy beczom do tera. A ty sam kogo jeszcze szukosz? Nie omyłyś sie przy rachowaniu? Chyba niy chcesz bych ci utnół łep mojom sikyrom, nie?

Śmierćka jeszcze roz łobejrzała swój heft. – Wyboczcie, ale jo sie chyba pomyliła. I gibko uciykła z zômku.

O KOŚCIOŁACH, KAPLICZKACH I KRZYZACH

Legenda o kościółku w Przyszowicach

(na podst.: Edward J. Pyka: „Kościołek p.w. Świętego Krzyża w Przyszowicach”;
Towarzystwo Miłośników Przyszowic – Gminny Ośrodek Kultury; maj 2008)

*Dawno, dawno temu, na końcu **Przyszowic**, na drodze prowadzącej do sąsiedniego Szywołda ugrzązł w błocie wóz chłopski ciągniony wołami. Mino wielu starań woźnicy wóz nie mógł wyjechać z ciężkiej gliny. A tu wkoło ciemna noc. Biedny chłop wpadł w rozpacz. Rzucił się na kolana, zaczął lamentować, płakać i prosić Boga o pomoc. W tym momencie ukazał mu się na niebie biały krzyż i cesarz Konstantyn.. Chłop uderzył w pokłonie czołem o ziemię i dalej żarliwie się modlił. Gdy po chwili podniósł głowę, krzyża już nie było. Uspokojony spróbował raz jeszcze wydostać wóz z błota. I o dziwo woły bez najmniejszego trudu wyciągnęły wóz. Jako zadośćuczynienie postawił w tym miejscu krzyż, a później postawiono w tym miejscu kościółek pod wezwaniem Świętego Krzyża.*

Jak to było ze kościółkiem we Przyszowicach

Downo, downo tymu, na końcu **Przyszowic** przy dródze na Szywołd wjechała w maras fôra ciôngniôno bez woły. Fôrmôn za nic niy umiôł sniôm wyjechać z ciynżki ciapulyty. A tu nocka – cima naobkoło. Biydny chop niy wiedziôł, co robić. Rymnôł na kolana i zaczął Pônbôczka prosić, coby mu pomôg. Narozki na niebie pokozoł sie bioły krzyż i cysorz Konstantyn. Chop pokłoniôł mu sie aże do zymi i durch rzykoł. Za jakiś czas dźwignôł gowa, ale krzyża już niy bôło. Ucholkoł sie trocha, a potym juzaś sprôbowoł wycingnôć fôrmônka z marasu. Dziwowoł sie fest, że terozki wołôm szło tak leko. Skuli tego, że Pônbôczek mu tak pomôg, postawiôł we tym miejscu krzyż, a niyskorzi postawiyli kosciółek Świyntego Krzyża.

Rak

(legenda prezentowana podczas IV Konkursu Wiedzy o Powiecie Gliwickim)

*Pomiędzy mieszkańcami wsi **Chechło i Łany** toczył się nieustanny spór o to, gdzie ma stanąć kościół. Żadna z wiosek nie chciała ustąpić, toteż w końcu uradzono, że kościół powstanie między wsiami. Zebrano materiały budowlane i postanowiono rozpocząć budowę, ale po przyjeździe na miejsce okazało się, że wszystkie zgromadzone cegły, cement, wapno i kamienie zniknęły. Na placu przyszłej budowy pozostał tylko jeden wielki głaz. Wtem zgromadzeni ujrzeni małego raka, który wszedł pod kamień i zaczął go nieść w stronę Chechła. Zdziwieni mieszkańcy obu wiosek poszli za nim i zobaczyli, że rak przeniósł w ciągu jednej nocy cały zgromadzony przez nich materiał budowlany. Był to niechybnie znak, że to właśnie w Chechle powinni wybudować świątynię. Tak się też stało i do dziś w Chechle stoi przepiękny kościół pw. Św. Walentego – patrona wszystkich zakochanych.*

Rak

Ludzie ze wsi **Chechło i Łany** sztyjc sie szarpali. Łostuda bôła skuli tego, kaj mo stanoć kościół. Jedni i drudzy tak sie sporkowali, że na kôniec uradzili, że zbudujôm go akuratnie pojôsczotku miyndzy tymi wsiami. Skludzili ceglôwki, cymynt, wapno, kamiynie i zaczęli robić. Jak prziszli na miejsce – patrzôm, a wszystkie te klamoty sie straciły. Na bauplacu łostoł sie yno srogi kamiyń. Narozki patrzôm, a tu rak wloz pod kamiyń i zaczął go smyczyć

na strôna Chechła. Jak za nim poszli – ujrzeli, że za jedna nocka rak przekludziył wszystko, co prziniyśli na budowa.

Wtedy już isto miarkowali, że to Pônôczek dowo im znak, iże kościół majôm budować w Chechle. Do dzisiok stoi tam piykny kościół Świyntego Walyntego – patrôna łod tych, co sie miłujôm...

Zaginiony dzwon

(na podst. „Kroniki parafii p.w. św. Michała Archaniôła w Żernicy”,
za księdzem Ernestem Kislingiem)

*Legenda głosi, że kilkaset lat temu **Nieborowice** miały własny kościół, który został zniszczony przez żołnierzy w trakcie potopu szwedzkiego. Dzwon ze świątyni zniknął, a okoliczni mieszkańcy opowiadali, że zapadł się w pobliskim grzędawisku. Po latach pewna dziewczyna spostrzegła, że stado świń wygrzebuje na podmokłych polach fragment jakiegoś dużego przedmiotu. Opowiedziała o tym dziadkowi, który przypomniał sobie, że kiedyś w tym miejscu stał kościół. Okazało się, że zwierzęta znalazły zaginiony dzwon. Ponieważ w Nieborowicach nie było już kościoła, ludzie postanowili podarować znalezisko parafii w Schönwaldzie (dzisiejszy Bojków). Zaprzęgnięto woły, które miały wyciągnąć dzwon na powierzchnię i zawieźć do miejsca przeznaczenia. Jednak żadna z wielu prób nie zakończyła się sukcesem. Dzwon nawet nie drgnął. Wreszcie zdecydowano, że z takim obciążeniem, zamiast do Bojkowa, łatwiej będzie dotrzeć do Żernicy. Ku zdziwieniu wszystkich zwierzęta natychmiast wyciągnęły dzwon z grzędawiska... Podobno przez długie lata bił w żernickim kościele, ku radości mieszkańców.*

Stracôny zwôn

Piyrzy i jeszcze downi we **Niyborowicach** bôł kościół. Ale prziszły Szwedy i go zniszczyły. Zwôn ze ty świątyni się straciół. Ludzie ze Niyborowic godajôm, że utopiół się na barzołach, co som tam konszczyczek dali.

Moc rokôw przeszło i kiedyś jedna frelka uwidziała, że wiepszki, co się pasły na łônce, wygrzebujôm cosik z marasu. Pedziała o tym starzikowi, kiery sie spomniół o kościele. To bôł zwôn, a gowiydź, go znojdła. Co zrobić ze tym zwônym? Kościoła już w Niyborowicach niy było, ale kapka dali, na Szywołdzie niy bôło zwôna. Tam się przido. Zaprzyngli woły i zaczęło się wyciônganie zwônów. Fest sie zaparli, ale zwôny ani nie ruszyły. Ludzie przisli po rozum do gowy – przeca lepi bydzie darować tyn zwôn sômsiedni parafiji we Żernicy, bo niy wiadomo, jak go zasmyczyć do Szywołda. Jak yno to postanowiyli, zarozki woły ruszyły i wyciôngły zwôn ze barzołów. Bezmała zwôn w Żernicy zwônił dugo, a żerniczany mieli z tego uciechy dwa miechy.

Grzeszna dziewczyna

(legenda prezentowana podczas IV Konkursu Wiedzy o Powiecie Gliwickim)

W **Chechle** żyła niezwykle piękna dziewczyna, w której kochali się wszyscy chłopcy. Ale ona z nich sobie kpila, toteż niejednen z nich – kończąc w rozpaczach życie - rzucił się do Jaryszowej Strugi. Wtedy Pan Bóg zesłał do Chechła anioła w postaci pięknego młodzieńca i to w nim zakochała się zła dziewczyna. On jednak nie zwracał na nią najmniejszej uwagi. W karczmie, w czasie zabawy tańczył z wszystkimi dziewczętami oprócz niej. Wtedy rozgniewana piękność z wściekłością wzięła w ramiona wiszący w karczmie krzyż i zaczęła z nim tańczyć wołając: „Jeśli ty ze mną nie będziesz tańczyć, to On to zrobi!” Nagle stanęła nieruchomo, a z jej ciała zaczęła sączyć się krew. Niebawem w wielkich bólach piękna

dziewczyna umarła. Pochowano ją za wsią, a w miejscu tym postawiono krzyż. Mówią, że w dni niepokoju na świecie spod krzyża wypływa krew grzesznicy.

Grzyszno dziółcha

W **Chechle** żyła bardzo szwarno dziółcha. Wszystkim synkom we wsi sie fest podobala, ale łona była tako marcha, że yno se śnich bimbała i podśmiychiwała. Nijjedyn borok skuli ni łodebroł se życie. Nikierzy topiyli sie we Jaryszowy Strudze. Dugo sie tymu dziwoł Pônôczek aże sie snerwowoł. Posłoł do Chechła anioła. Przibroł anioł postać piykneho karlusa i - wol niy wol – dziółcha sie w nim rozmiyłowala. Tyn jednak jom feachtowoł – ani na nia niy wejrhoł. We gospodzie tańcowoł z dziółchami, ale jom mijoł. Nigdy jom niy wybiyroł. Ta dziółcha niy mogła tego szczimać. Roz ze złości sjyna krziż ze ściany i poszła śnim tańcować. Ryczała przy tym: „Kej ty sy mnôm niy bydziesz tańcować, to Łon to zrobi!”. Narozki stanyła, a ze cołkigo ciała zaczęła ji lecieć krew. We wielkich boleściach umrzyła. Pochowali jom za wsiôm, a na grobie postawiyli krziż. Godajôm ludzie, że jak sie na świecie mele i narody niy umiôm sie dogodać, to spod krzyża wypływo krew grzysznicy.

Legenda o zapadniętej karczmie

(legenda prezentowana podczas IV Konkursu Wiedzy o Powiecie Gliwickim)

*Przez las w **Rudzińcu** , tam gdzie stoi ocalały po Wielkim Pożarze krzyż, biegła droga, którą pielgrzymi szli na Górę Świętej Anny. Przy drodze stała karczma.*

Pewnego razu zatrzymała się przy niej pielgrzymka. Ludzie oparli krzyże, chorągwie i figury o ściany i weszli do środka dla rozrywki i ochłody. Położyli modlitewniki i różańce na stoły, raczyli się piwem i dobrym jedzeniem. W głowach zaszumiało, muzyka zagrała, niejeden brzydkie słowo rzucił.

Nagle zerwał się wiatr, zahuczało, błysnęły błyskawice i zaczął padać ulewny deszcz. Z wielkim trzaskiem ziemia się rozstąpiła i karczmiszko wraz z pielgrzymami zapadło się pod nią. Do tej pory przy drodze na łące , niedaleko drewnianego krzyża, który ocalał po wielkim pożarze, znajduje się wgłębienie, a spod ziemi słyszeć jęki grzeszników.

Nie pamiętali oni o tym, że najpierw powinności , a później przyjemności.

Bojanie ło zapadniony gospodzie

W **Rudzińcu** we lesie stoi krzyż. To tam sie zatrziomoł Wielki Pożar. Kole krzyża, drogôm leśnôm chodzili pôntniki na Góra Świnynty Any. Kole drôgi stała gospoda.

Jedyn roz pônć zatrzymała sie przy tyj karczmie. Pôntniki oparli krzyże, chorôngwie i figury, kere niyśli, ło ściana i wleźli rajn do gospody. Położyli ksiônżeczki do rzykanio i różańce na stoły, zaczęli pić piwo i jeść. W gowach im sie zawróciyło, muzykanty grali, a nijjedyn łowdy kedy zapieroniół.

Naroski blyskło, zahuczało, zaczęło łoć. Ze srogim larmym zymia sie łotwarła i gospoda ze pôntnikami pod nia sie zapadła. Łod tego czasu na łonce, kaj stoi krzyż, kery sie łostoł po Wielkim Pożarze, jest srogo ducka, a spod zymi nikierzy słyszôm jynk grzyszników. Boroki, zapomnieli sie, że nojprzôd trza dbać o powinności, a potym myśleć ło przyjemnościach.

„Magdalenka”

(tekst prezentowany na konkursie legend z terenu powiatu gliwickiego przez Krzysztofa Nowaka
– zdobywcę I miejsca - przygotowany pod kierunkiem Anny Breguły)

Pewnego razu książe z Rud Raciborskich postanowił wybrać się w odwiedziny na zamek do Sośnicowic. Książe jak to książe - miał też swoje grzechy. Nie dbał o swoich poddanych. Miał jeszcze jedną wielką wadę - gadatliwość. Dlatego właśnie jechał w odwiedziny sam, bo każdego już głowa bolała od tego gadania. Droga była nieznana księciu, bo po raz pierwszy przemierzał ją samotnie. Jechał, a końca drogi nie było widać. Nagle rozpętała się burza, koń księcia przestraszył się piorunów i uciekł. Książe został sam. Co miał począć sam w środku lasu? Nie pozostało mu nic innego, jak tylko uklęknąć i zacząć się modlić: „Boże, uratuj mnie!!! Nie przeżyję bez wody!”. Pan Bóg ulitował się nad nim i zaprowadził go nad strumień. Książe napił się, rozejrzał i ujrzał jagody... Zbierając je, nagle zauważył piękną dziewczynę. Zakochał się w niej, no i - co będę dużo mówić – zgrzeszyli w tym lesie. A że książe był pobożny, więc prosił Boga o przebaczenie. I jako zadośćuczynienie postawił w lesie kapliczkę. Miała być niepowtarzalna, różniąca się od większości, więc jest pozbawiona ścian. Patronem tej kapliczki została święta Maria Magdalena i ludzie nazywają ją „Magdalenką”. Obecnie kapliczka zyskała renomę cudownej, bo dwukrotnie pożar cudownie ją ominął.

„Magdalynka”

Roz ksiônże ze Rud Raciborskich wybroł się na byzuch na zomek do Sośnicowic. Ksiônże jak to ksiônże - miał tyż swoje grzychy. Niy dboł o swoich ludzi. Miał jeszcze jedyn wielgi feler: dużo godoł. Bestôż jak jechoł na tyn byzuch, to jechoł sôm, bo každymu już łeb pynkoł od tego godania. Jechoł w niyznane, bo jeszcze tukej som niy jechoł. Jechoł, a kôńca niy bôło widać. A prziszło gywiter i koń łod ksiyncia uciyk ze strachu. Co miał se pocznônć som we środku lasa? Nic mu niy łostało yno klynknônć i zaczônć rzykać: „Pônôbôczku uratuj mie!!! Jo sam świtna bez wody!”. Pôn Bôg ulitował sie nad nim i zakludziôł go do mały rzyczki. Napiôł sie, nie trwało dugo jak znod jagody. Jak tak zbiyroł te jagody, to trefiôł tako fajno dziôłszka. Zakochał sie w ni, no i - co jo wôm tam byda dużo godoł - łoni w tym lesie nagrzeszyli. A że ksionże bôł pobożny, to prosiôł Pônôbôczka o przebaczynie. I za to w tym lesie postawiôł kapliczka. Miała być tako inszo, beztôż je bez ścian. Patronkôm tyj kaplicy je świynto Magdalyna. Ludzie godajôm na to „Magdalynka”. Tera ta kaplica je świynto, bo już dwa razy łogyń jôm cudownie ominôł.

O DIOBŁACH, SZCZIGACH I POTYMPIŃONYCH DUSZYCZKACH

Bajka o muzycznym diobole co straszył w japyce Proskiego we Knurowie

(tekst prezentowany na konkursie legend z terenu powiatu gliwickiego przez Przemysława Barę -
przygotowany pod kierunkiem Iwony Polok)

Sto roków nazod, kajś przy Dorfsztrasie
Blisko łod zomku i łod kościoła
Co jom Kozielka dziś nazywocie,
W mieście **Knurowie**, japyka stoła.

Medykamynta tam Proske rychtowoł,
Mikstury miyszol we wieczor i rano
Potym ludziskom chorym je przedowoł
Na bas bolawy, na krziż i kolano.

Proske miał takie stropiynie wiele
(godała mi o tym staroszką Teklą)
Że choć durch rzykoł we farskim kościele
Dioboł mu dusza chciał porwać do piekła.

Już hercklekoty miał skuli szatana
Bo tyn sztyjc fuczoł, charczoł, butlowoł,
Charłoł i porskoł, aże do rana -
Bez dziyń zaś chachor - za szrankym się chowoł.

Lamyncioł Proske we tyj swojyj bydzie,
Ludziska zaczyli go tyż fest żałować.
W japytce straszy! Gyszeft źle idzie!
Trza by na diobła cośik łobsztalnować.

A miyszkoł tam tyż ślusorczyk młody
Kiery na krzipkach przigrywoł piyknie
Godo; knif mom na diobła takowy, coby,
Nauczyć go grać na krzipkach, to styknie.

I woło diobła, jak obcyrklowoł:
„Gibko mi tukej przyłaż bestyjo”
Krzipki w oszkliwo graba mu dowo
I grać mu koże jakoś aryjo.

Szkrobie coś dioboł, coś tam rzympli
Zymbami szczyrko, muskle szpanuje.
Ale szpon srogi, grać niy pozwoli -
Chyba, że karlus go ofajluje.

Do ślusorczyka tak piyknie godo:
Że nych mu szpony trocha sfajluje,
I do szraułbsztoka pazury wkłodo
A tyn fest krynci, nic niy folguje.
Przezywo dioboł, stynko, gupieje,
Szłapom ze gowy wyrywo kłaki
A karlus sie yno z tego szpasu śmieje
Że mu się trefioł „muzykant” taki.

Tak to i na diobła prziszła utropa
Sromota tako, aże boli gowa,
Bo w niewoli boł teroz u chopa
A ten mu kozoł citać z Knurowa.

Dioboł go wodzi na pokuszyynie,
Dowo mu zwola, dużo piyniendzy
A karlus yno chce przyrzeczyynie
Że czort z Knurowa pitnie czym pryndzyj.

Że już niy bydzie straszyl w japytyce,
Ani na dusza dyboł Proskiego,
Że bydzie swoje diobelskie wice
Robioł kaj indzij, a niy u niego.

Do dzisioj japytyka lyki tu sprzeduje
I żodyn djoboł tukej już niy straszy,
Bo Świynto Barbara się niom opiekuje -
Dzisioj i jutro, i po wszystkie czasy.

Zły panicz z Nieborowic

(udostępnione przez Aleksandrę Czechowską-Gąbkę)

Dawno, dawno temu, tam gdzie teraz jest składowisko kopalnianego mułu (przy drodze z Leboszowic do Nieborowic przez las na „przepompownię”), stał duży, piękny zamek. Był on taki wielki i taki piękny, że nie da się go opisać. Mieszkała w nim piękna, młoda wdowa. Miała ona kruczoczarne, długie włosy i czarne jak węgle oczy. Nie miała dziecka, bo mąż krótko po ślubie zmarł. Wdowę martwiło, kto się nią zaopiekuje, kiedy będzie stara i komu przekaze majątek. Raz na balu poznała przystojnego mężczyznę. Zakochała się od pierwszego wejrzenia. Mężczyzna uwiódł ją i zniknął. Po dziewięciu miesiącach, urodził się śliczny chłopczyk, wypisz – wymaluj, mężczyzna z balu. Był dobrym i grzecznym dzieckiem, ale kiedy podrośł, zmienił się - jakby diabeł w niego wstąpił. Pił, hulał całymi dniami i nocami, panoszył się w zamku, źle traktował ludzi, przepuszczał pieniądze, narobił strasznych długów, ze wszystkimi w okolicy pokłócił się. Kiedy wdowa umarła, wygonił służbę i został sam. Pewnego razu przysłała do niego śliczna, mała dziewczynka. Powiedziała mu, że ma naprawić całe zło, które wszystkim dookoła wyrządził, bo jeszcze ma szansę na dobre i godne życie. Wtedy panicz strasznie zdenerwował się, zaczął kląć, rzucać wszystkim, co wpadło mu w ręce. Dziewczynka zniknęła, a w zamku wszystkimi, możliwymi otworami, zaczęła się lać woda. Zamek rozleciał się, i zamienił w piasek, panicz nie uratował się. Piękny pan z balu był diabłem, jego syn przejął po nim wszystkie złe cechy i źle skończył, bo nie wykorzystał szansy, jaką dał mu anioł – mała dziewczynka. Przez długie lata w tym miejscu, gdzie stał zamek wydobywano piasek, a dzisiaj jest składowisko mułu kopalnianego.

Łoszkliwe panisko ze Niyborowic

Downi i jeszcze downi na mułach (przy drodze ze Leboszowic do Niyborowic) wele przepompowni stoł srogi, pykny zomek. Był taki wielki i taki piykny, że niy do sie łopisać. Miyszkała w nim piykno i młodo gdowa. Miała czorne i dugie wosy, a łoczy jak wôngle. Niy miała bajtla, bo chop zarozki po ślubie zemrzył. Starala sie gdowa, wto bydzie na starość ło nia dboł i jôm flegowoł, no i kômu do swôj majôntek. Roz na wielki muzyce poznała gryfnego chopa. Rozmiyłowala sie w niym, jak yno go uwidziała. Chop wykorzystoł jôm i sie stracił. Po dziewiynćiu miesiôncach urodził sie piykny syneczek, podany na tamtego chopa, keby skôra śniego zdar. Bôł dobry i grzeczny za bajtla, ale jak podrôs, to keby dioboł w niego wloz. Piôł, chacharzył w dziyń i w nocy, robił wieczne breweryje na cołki zômek, bôł łoszkliwy do ludzi, przehuśoł cołki majôntek, narobił dugów, ze każdym bôł powadzôny. Jak gdowa pomarła, wyciep sużba i łostoł som. Jedyn roz przisła do niego tako piykno mało dziołszka. Pedziała mu, coby sie poprawił i nadgrodził ludziôm, to co zrobił źle. Nie je jeszcze za niyskoro, coby sie ustatkować.

Wtedy panisko sie fest znerwowało, zaczęło pierônić i ciepać wszystkim, co prziszło pod rynka. Dziołszka – a bôł to anioł – straciła sie, a do zomku wszyskimi dziurami zaczęła loć sie woda. Zomek sie rozleciół i łobrôciół sie we piosek. Panicz sie niy uratował. Piykny chop ze muzyki to bôł dioboł, a jego syn wziôn po nim wszysko, co złe i tyż źle skończôł, bo niy ustatkował sie, jak mu przykazywała dziołszka - anioł. Bez dugie lata tam, kaj bôł zomek, ludzie brali piosek na budowa, a dzisiej je tam dukla z mułym.

Strzygi Agnieszki (Stefania Grzegorzycyca)

Opowiadała mi moja koleżanka Agnieszka, że „zmyłki” zwodziły mężczyzn, a strzygi uwzięły się na kobiety. Trzeba było bardzo uważać, żeby podstępem nie wniknęły do domu. Strzygi szczególnie upodobały sobie położnice. Babcia opowiadała Agnieszce, że położnica nie mogła przez sześć tygodni po porodzie wychodzić z domu. Mogła go opuścić dopiero po tym czasie, gdy dziecko zostało ochrzczone. A już broń Boże nie mogła wcześniej wyprowadzać noworodka lub powiesić na dworze pieluchy. Zaraz zerwałaby się wichura, strzygi wcisnęłyby się do domu, a sama matka i noworodek mogliby umrzeć. Jej babcia tylko wyszła po wodę, a już musiała w te pędy uciekać. A strzygi jeszcze za oknami wyły i omal nie wybiły szyb. Strzygi to takie kudłate czarowonice, którym tylko spódnice furkoczą na wietrze. Nakazała jeszcze babcia Agnieszce, żeby – jak tylko pierwszy raz zobaczy noworodka – wymówiła słowa „Bez uroku!”. Będzie wtedy bobas rósł i dobrze się miał.

Agnysowe szczigi

Godła mi moja kamratka Agnys, co jôm zwiymy Nyszka, że zmyłki bamôńciły chopów, a szczigi uwziyny sie na baby. Trza było fest dować pozôr, coby niy wlażyły do chałpy! Szczigi nojbardzi dowały pozôr na położniczki. Starka godali Nyszce, że położniczka niy śmiała sześć tydni po porodzie wyłyżć na dwôr z dôma. Dziepiyro jak po sześciu tydniach były chrzciny, to mógła. A już brôn Boże wyłyżć z chałpy z noworodkiym abo pieluchy na dwôr powiesić! Zaroski zamłolo, szczigi wciskały sie do chałpy, a dziecko i położniczka mogły i zymrzyć. Jeji starka tyż yno wyleźli po woda, to kalupym musieli uciekać, a szczigi jeszcze przez szyba wyły i chciały łokno wybić. To bôły takie kudłate hekсы kerym yno kiecki furgaly. A jeszcze starka przikozali Nyszce, coby jaki piyrszy roz widzi noworodka, pedziała: - Bez uroku! Bydzie wtedy bajtel rósł i dobrze się miół.

Skąd w Taciszowie wziął się ogromny głaz

(tekst prezentowany na konkursie legend z terenu powiatu gliwickiego przez
Łukasza Obrusznika i Mateusza Dohrmanna, przygotowany pod kierunkiem Janiny Drozd)

W Taciszowie jest ogromny głaz, który według wierzeń miejscowej ludności najpierw miał leżeć w Gliwicach. Był on tak płaski jak stół, toteż służył różnym łobuzom i pijakom do gry w karty i picia wódki.

Szczególnie dwaj pijacy, jakich jeszcze świat nie widział, upodobaliy sobie to miejsce. Cały dzień pili piwo, wódkę i co chwilę biegali do karczmy po kolejne garnce gorzałki. Pili i grali w karty aż do zmroku. Ludzie, którzy ich mijali, ze zgrozą mówili, że samemu diabłu by duszę sprzedali za wódkę i piwo.

Pewnego razu nad Gliwicami przelatywał ulubieniec samego Lucyfera, diabeł, który nazywał się Szulc. Z niego to dopiero był oszust i spryciarz. Pił i grał w karty z najlepszymi i zawsze wygrywał! Akurat szukał dwóch duszyczek, których zabrakło mu do wykonania normy piekielnej, toteż kiedy zobaczył tych dwóch pijaków, aż zatarł łapy z radości!

Pomyślał sobie, podejdzie i posłucha o czym rozmawiają, może znajdzie na nich sposób. Jak postanowił, tak zrobił i taką usłyszał rozmowę:

-Ty Zeflik, nalej mi jeszcze jednego!

- Przecież już nie ma nic – wybelkotał drugi pijak, potrząsając pustą butelką

- Wypiliśmy już wszystko!

-Poszukaj, może jeszcze coś znajdziesz!

- Nie, nie ma już nic!

- Ale do piorona, mnie tak suszy! Jeszcze bym coś wypił

- To idź do karczmy i kup jeszcze ćwiartkę

- Tak, a nie wiesz pieronie za co? Przecież ja już babie ostanie pieniądze zabrałem

Wyciągnął puste kieszenie, by pokazać, że mówi prawdę.

- Ja też nic nie mam, a tak mnie suszy ze samemu diabłu oddałbym dusze za garniec wódki. jęknął drugi

Na to tylko czekał Szulc. Szybko odwrócił się w jedną stronę, przybierając postać gajowego i chyżo pobiegł do karczmy po wódkę. Potem podszedł do tych dwóch pijaków i zaproponował im poczęstunek w zamian za podpisanie krwią cyrografu. Ci, nie zastanawiając się, szybko podpisali krzyżykami szatański dokument i dalej pili. Czasami tylko dziwili się, czemu ten nowy tak cuchnie siarką. Po chwili zmorzeni wódką zasnęli na głazie. Na to tylko czekał szatan. Zakręcił się w drugą stronę, powracając do swojej prawdziwej postaci, potem zaśmiał się upiornie, podniósł głaz ze śpiącymi na nim pijakami i skierował się w stronę piekła. Było już ciemno, toteż każdy porządny człowiek wie, że diabeł ma wtedy największą moc.

Kiedy przelatował nad Taciszowem, zobaczył go archanioł Gabriel, który właśnie przybył do tej wioski na inspekcję. Gdy zobaczył diabła, szybko podfrunął do niego i groźnie krzyknął

- Zostaw ich w spokoju, ty podciepie szatański, bo ci przyłożę!

-Odejdź anioł, bo oni już moi! Podpisali cyrograf za wódkę czy nie? – odrzekł Szulc, podsuwając aniołowi pod oczy cyrograf

-Podpisali, bo nie wiedzieli co to jest! Cyrograf jest nieważny !

- Idź anioł, nie wtrącaj mi się do roboty, bo nie wytrzymam Jak chwycę za te poświęcone skrzydła i przetrzepie, to sam Pan Bóg cię nie pozna, a o lataniu już zapomnij!

Tak zaczęła się straszna kłótnia

-Ty mnie, ty mnie będzie straszyl, ty pomioście szatański! Tylko spróbuj, mamlasie jeden, to ci ogon z tyłka wyrwę!

- Wielki Lucyferze, trzymaj mnie, bo nie zdzierzę i tak walnę w tę świętą gębę, że rozplaszczy ci się! Biorę pijaków i basta !

Szulc zaczął ciągnąć pijaków w jedną stronę, a anioł w drugą. Wkrótce rozpoczęła się walka! Wokół nich fruwały niebiańskie pióra, diabelska sierść, a ich wrzaski sięgały nieba!

- A masz ty pomioście szatański!

-A masz ty durny aniele !

-A masz

-A masz....

Walczyli do samego rana

Kiedy złoty krąg słońca wytoczył się na niebo, Szulc stracił swoją siłę i poddał się! Anioł zrzucił na ziemię głaz z pijakami, ale tak nieszczęśliwie, że przytrzasnął nim nogę diabła.

Miłosierny Archanioł uwolnił go, ale do tej pory diabeł kuleje na jedną nogę. Potem obudził pijaków i przykazał im, aby już nie pili i Pana Boga robotą chwalili.

Od tej pory stali się porządnymi ludźmi, a głaz, który przyniósł diabeł, do tej pory leży w Taciszowie i ostrzega każdego, że wódka to wynalazek szatana i zawsze prowadzi do złego!

Skônd sie w Taciszowie wziyna festelno berga

W **Taciszowie** je tako festelno berga, kero nojpiyrw, jak padali nasi starzikowie, leżała w Glajwicach. Była łona tak plaskato jak tyn niy przymierzajônc stół, totyż roztomajte miglance i chachory groły na niyj w szkata, debla i schłępali tam tyż gorzoła. Groły tam tyż dwa łożyroki, jakich jeszcze sôm Pônôczek niy widziôł. Cołki dziyń schłępali to piwsko i gorzoła i co roz lotali do szynkwasu po kolejne gorce i rzli w szkarty aż do ćmoka. Ludziska, kerzy ich łomijali, ze zgrozôm padali, że samymu dioskowi by ta dusza przedali za piwsko i gorzoła.

Rozu jednego przelatywoł nad Glajwicami kamrat somego Lucyfera, diosek kery nazywał sie Szulc. Z niego dziepiero była bestyjo! Schłepoł, groł w szkarty i durś wygrywał. Dioskowi brakło jeszcze dwóch duszyczek do piekielnego rachunku. Totyż kiej uwidziôł tych dwóch, to aż łapy zatar z tyj uciechy. Pomyśłoł se, że podyńdzie ku nim i posucho ło czym łosprowiajôm, można nojdzie na nich sposôb. Jak pomyśłoł, tak zrobił i tako usłyszoł godka:

-Ty Zeflik, nalyj mi jednygo!

-Adyć już nima nic – pedziôł drugi łożyrok tyrpoczônc halbeczkôm. - Wysłępali my już wszystko.

-Posznupej jeszcze, można cosik znojdziesz!

-Niy, już nic ni ma!

-Adyć pierôn timer, a mie tak suszy ! Jeszcze cosik bych wysłepoł.

-To idź do szynkwasu i kup jeszcze jedna halbeczka.

-Ja pierôn timer, a niy wiesz za co? Przeca jo już babie łostatnie grosze wziôn!

Wyciôngo puste kapsy i godo dali

-Jo tyż mom już puste kapsy, a suszy mie tak, cobych łoddoł dusza dioskowi za gorniec gorzolki

Na to yno czekoł Szulc, wartko zwyrtnôł sie w lewo strona i przekopyrtnôł sie w gojnygo, a potym drapko polecioł do szynkwasu po gorzoła i piwsko. Potym poszoł do tych łożyrokôw i pedziôł, co do sie im nasłepać, kiej podszkryflajôm mu tyn cyrograf własnôm krwiôm. Ci drapko pdszkryflali krzyżykami tyn dioskowy papiôr i naczli schłepać. Yno tyż dziwowali sie, czamu tyn nowy tak śmierdzi siarkôm. Po jakimś czasie usnyli na tyj berdze. Na to yno doczkoł Szulc. Zwyrtnôł sie w drugo strôn timer coby zaś stać sie dioskiym, potym zachichroł sie łokropicznie i podniôs ta berga z tymi łożyrokami i leci do piekła. Był już ćmok, totyż koždy porzôndny człek wiy, że wtedy diosek mo nojwiynkszo moc.

Kiej furgoł nad Taciszowem, łobaczył go jarchanioł Gabryjel, kery przybył do tygo dorfu na inspekyjo. Kiej łobaczył Szulca, drapko podfurgnôł k niymu i srogo wrzasnôł:

-Łostow ich ty podciepie piekielny, godom ci, łostow te krześcijańskie dusze, bo cie mazna!

A na to diosek, podsuwajônc pod łoczy janioła cyrograf pedziôł

-Łodyńdź janioł, bo łôni som już moi! Podszkryflalili cyrograf za gorzalka abo niy ?! Łobocz se sôm!

-Podszkryflali, bo niy wiedzieli co! Tyn cyrograf niy je ważny !

-Idź janioł, niy wciepuj mi się w robota, bo niy szczimia! Jak wezna za tyn poświyncony łeb i skrzydła i potyrpia, to cie som Pônôczek niy pozno, a ło furganiu, to już zapomnij!

Diosek niy szczimoł i piznôł janioła, a tyn mu festelnie tyż przyflancowoł. I tak naczła sie ta łokropiczno szarpaczka pomiyndzy nimi.

-Ty mie..., ty mie... bydziesz straszyl...?Ino sprôbuj mamlasie jedyn, to ci rogi powyrywôm i łogôn z rzyci wyciôngnôm! Wrzeszczoł janioł

-Wielki Lucyferze, czimej mie, bo niy szczimia i pizna w ta swiynto gymba i zarozki bydziesz lezoł jak tyn masny flak! Pedziołek, że biera łożyrokôw do piekła i kôn timer!

Szulc ciôngnie berga z łożyrokami w swoja strona, a janioł w swoja i wrzeszczôm!

-A spróbuj ino ich wziość! A mosz ty podciepie szatański!

-A mosz , ty gupi janirole.....!

- A mosz.....!

- A mosz...!

Bijatyka ciôngła sie do somiuśkiego rana! Kiej na niebie blyndło złote słoneczko, to Szulc stracił ta swoja moc i janiol ściep na ziemia ta berga z łożyrokami tak, co przitrzasnół szłapa dioskowi. Miłosierny Gabryjel uwolnił go, ale diosek do tyj pory kuleje.

Potym janiol łobudził łożyroków i przykosoł im, coby wyncy niy ślepali i Pônôczka robotom chwolili.

Łod tyj pory stoli się porzôndnymi chopami, a berga, kerom diosek przyniôs do Taciszowa do tyj pory tam leży i łożstrzego kôżdego zgnilucha i łożyroka przed tym, coby miôł umiar w tym co robi, bo gorzoła to wynalozek dioska i dycki człeka prziwiedzie do złego.

Kamień diabelski niedaleko Toszka

(za Bernard Szczech: „Legendy i podania dotyczące Gliwic oraz ziemi gliwickiej (cz. I)”; „Rocznik Muzeum w Gliwicach” t. XIX – 2006 r.)

Niedaleko **Toszka** znajduje sie ogromny kamień. Leciał z nim diabeł chcący nim zamek olsztyński obok Częstochowy skruszyć. Będąc nad Toszkiem usłyszał pianie koguta i musiał już kamień porzucić i do swojego siedliska wracać.

Diobelski kamiyn kole Toszka

Kole **Toszka** je srogi kamiyn. Furgoł śnim dioboł, bo chcioł go ściepać na zomek w Olsztynie kole Czynstochowy. Jak bôł już nad Toszkym, to usłyszoł pionie kokota. Wol – niy wol musioł pociepnôć kamiyn i nazod wrôcić do sia.

O czarnej damie z Pyskowic

(na podst.: „Legenda o białej damie”; Gazeta Gliwicka nr 246/2008)

Powiadają, że odbicie kobiety ubranej w śmiertelny strój widywano na pyskowskim Rynku, gdzie ukazywało się w witrynach sklepów, a po obfitych opadach również w kałużach wyznaczających na ulicy deszczowy szlak. Powiadają też, że był to duch pani Szolc, właścicielki karczmy „Germania”. Powiadają także, że pyskowska czarna dama nie była za życia szlachetną osobą, ni z charakteru, ni z urodzenia...

Dawne to były czasy, ale przetrwały w słowach przekazywanych z ust do ust, z pokolenia na pokolenie. Była w **Pyskowicach** karczma sławna piwem, w której na nocleg zatrzymywali się strudzeni wędrowcy. Zajazd ten należał do pani Szolc, wcale niezacnej kobiety. Mówiono o niej, że im więcej zysków przynosiła praca zatrudnionych w „Germanii” ludzi, tym gorzej ich traktowała. A skąpa była! Nawet świętym nakazom wielkanocnej jałmużny się sprzeciwiała, psami szczując żebraków i obrzucając ich gnijącymi odpadkami z karczmianej kuchni.

Sprawiedliwa jest jednak śmierć, bo i do Szolcowej przyszła dnia pewnego z kosą. Przecięła nić życia, ale zlej duszy wziąć nie chciała. Nim zatem do pochówku doszło, wychodziła o północy ze swej trumny karczmarka i błąkała się pokutnie po obejściu, zaglądając do domu, gorzelni i stajni. Może, jak za życia, chciała zrugać służbę i wytargać za koszulę stajennego, a może, dla wiecznego spokoju, szukała okazji, żeby błagać o wybaczenie żyjących za swoje winy? Nie powiedziała jednak nic, choć jej ducha widziała mieszkająca w ciasnej izdebce stajni służąca, a woźnica słyszał, jak w składzie dawna pani toczyła beczki z piwem.

Pochowano w końcu panią Szolc i w domu ucichło. Duch złej właścicielki „Germanii” nie odzyskał jednak spokoju. Powiadają, że czarna dama często w nocy błądziła po mieście – siadała na ławce przed domem, by po chwili zniknąć. Strażnik nocny omal sam nie wyzionął ducha, gdy pewnego razu stanęła przed nim zjawa, w której rozpoznał zmarłą panią Szolc. Żegnając się po wielokroć zapytał nawet: „Co chcesz ode mnie kobieto?”. Nie doczekał się jednak odpowiedzi od potępionej duszy karczmarki.

Ducha widziano po raz ostatni w kościele, na mszy świętej za dusze zmarłych. Później już nikt go więcej nie widział, nigdy więcej czarna dama nie pojawiła się również w karczmie. Aż do czasu, kiedy wiele lat później zaważyła się część „Germanii”, a ludzie ten wypadek przypisali właśnie duchowi zmarłej właścicielki.

Mędrca szkiełko i oko udowodniło wprawdzie, że „duchem” byli złodzieje, którzy w ten sposób wykradali złoto mieszkańcom... Czy aby jednak na pewno? To pytanie stawiam tym, co nie wierzą duchom...

O czorny damie ze Pyskowic

Godajôm ludzie, że jak szpacyrujesz po pyskowskim rynku to we szalfynstrach łowdy kedy idzie dojrzeć łodbicie baby we śmiertnych łoblyczkach. Niyroz dojrzeć jôm idzie we kałużach po srogim dyszczu. To jest duch pani Szolc, właścicielki gospody „Germania”. Godajôm tyż stare baby, że ta czorno damulka ze **Pyskowic** za życie niy bôła ani piykno ani szlachetno, ale bôła mokwa jak diosi. „Germania” znano bôła ze dobrego piwa. Łowdy kedy wyndrowcy łostowali na noc w ty gospodzie. Szolcka bôła tako hyrpa, sztryng trzymała tych co u ni robiyli. Krôm tego bôła jeszcze chamiato jak sto diosków. Nic sie niy robiła stego, że we Wielkanoc trza przeca żebrokom coś dać – puszczała na nich psy i niyroski ciepła zgnitymi ściepkami ze kuchni na nich. Przisła kryska na Matyska – jak godajôm ludzie. Po Szolcka przisła śmierć z kosôm, ale duszyczki łoszklivy niy chciała wziônć. Przed pogrzebem jeszcze duszyczka Szolcki wyłaziła ło pônocku ze truły i łaziła po gorzelni, chałpie i masztalni. Mono chciała, jak za życie, łofrônkać sużônnych, a mono chciała prosić ło przebaczyni. Nic niy godała. Widziała jôm ze swoji izby staro sużônco, a farorz słyszoł jak kulała beczki ze piwym. Jak już Szolcka pochowali, to w doma ucichło. Dusza jednak niy zaznała pokoju. Baby godajôm, że duszyczka Szolcki bamônci po mieście gynsto we nocy. Siado na ławce przed domem, a potym zniko. Roz chopa, co wachowoł porzônku na rynku ło wiela szlag niy trefiôł, kedy stanyła przed nim zjawa. Zarozki poznoł, że to Szolcka. Trzy razy przeżegnoł się krzyżem i pytoł, co łod niego chce. Potympiônno dusza Szolcki nic mu niy pedziała, yno się straciła. Łostatni roz ludzie widzieli ducha właścicielki „Germanii” we kościele na mszy za duszyczki zmarłe. Potym już jôm nikaj żodyn niy widzioł. Yno jak wiela lot niyskorzi zapod sie kônsek „Germanii”, to ludzie godali, że to zrobiôł duch umrzyty Szolcki. Bezmała to zrobiyli złodzieje, kerzy złoto ludziom w Pyskowicach kradli. Ale jako je prowdą?

O UTOPKACH

Knuiowski utopek

(Stefania Grzegorzycy)

*Utopek najpierw mieszkał w **Knuiowie** koło mostku Knuiowianki za stawem Lorenca (dziś i staw, i Knuiowianka zniknęły pod ziemią, a w tym miejscu powstał park). Był złośliwy i przez mostek przepuszczał tylko mężczyzn. Kobiety ściągali z mostku do wody albo taplał w błocie. Nawet gdy kobieta szła z mężem, to coś rzucił jej pod nogi albo obrzucał błotem. Utopek zawziął się też na mężczyzn, którzy wracając z gospody u Lorenca albo kopalni skracali sobie drogę przez podmokłe Lorencowe łąki. Do północy pozwalał im przechodzić,*

ale jak któregoś spotkał później – już mu nie darował. Potem utopek przeniósł się pod most niedaleko chałupy Kuczery. Spokorniał i zmienił się bardzo – mówią, że to stary Kowol go oduczyl straszyć ludzi. Utopek uwielbiał buty – gromadził je i naprawiał pod mostem. Dzieci idąc do szkoły często słyszały stukanie utopka i wtedy szybko biegły drogą – byle minąć most. Z nastaniem zimy przychodziły na utopka ciężkie czasy. Wtedy utopek szedł do gospodarzy – Kwitka lub Łończyka i mówił: „Dejcie mi hyrtom-pyrtom, a jak sie wypyrtom, to wom za tyn hyrtom przypyrtom”. Starzy gospodarze wiedzieli, że chodzi o „tragacz” (wózek na dwóch kółkach do przewożenia trawy i zielska). Utopek wrzucał buty do tragacza i spod mostku przeprowadzał się na strych Kuczery. Gdy Kuczera znajdował na podwórzu porzucony tragacz, wiedział, że ma gościa w domu. Utopek nikomu nie przeszkadzał - czasami tylko Kuczera słyszał stukanie. Musiał się jednak pilnować, żeby nie pć wódki, bo wiedział, że utopki nienawidzą pijaków. Utopek za to, że mógł przezimować u Kuczery bawił się z dziećmi. Niekiedy stara Kuczerowa przez drzwi słyszała, jak w izbie, gdzie zostawiła dzieci same, rozlegają się śmiechy i żarty. Dzieci łapały utopka za długie zielone włosy, zdejmowały mu czerwoną czapkę, szczypały go w zielony nos i klepały po brzuchu. Utopek zaśmiewał się i majtał ubranymi w czerwone rajtuzy nogami. Jak tylko Kuczerowa wchodziła do izby, utopek uciekał - tylko deski podłogi skrzypiały. Kiedy przychodziła wiosna i robiło się ciepło, Kuczera pożyczał tragacz i wystawiał go na podwórze. Potem znajdował go pod mostem. Wiedział już, że utopek się wyprowadził.

Knuiowski utopek

Nojprzód utopek mjyszkół **we Knuiowie** pod mostkiym Knuiowionki za stowym Loryncowym (dzisiok i stow, i Knuiowionka sie potraciły pod ziymiôm, je tam terazki park). Utopek był łoszekliwy i bez mostek przepuszczoł yno chopów. Jak sie pokozala baba, to ściôngoł jôm do wody abo topłoł w ciapulycie. Taki bôł gizd, że żodny babie niy przepuściół, choby szła ze swoim ślubnym. To ji pod szłapy coś podciep, to łobdrzistoł marasym.

Utopek uwziôn sie tyż na chopów, kerzy z karczmy u Lorynca abo ze gruby szli na przimo bez te barzoły. Do północka dowoł im pokôj, ale potym wyrobiół wiela sie dało.

Potym utopek wykludziół sie pod most kole Kuczerowy chałpy. Spokornioł i bôł już blank inkszy niż downi – godajôm, że to stary Kowol łoduczyl go ludzi straszyć.

Utopek rod mioł kupa szczewików – szewcowoł je i naprowioł pod mostym. Jak bajtle szły do szkoły, to gynsto słyszały te klupanie i kalupym gnały drogom – bele minońć most.

Jak prziszła zima, to przichodziły tyż ciynżkie czasy na utopka. Wtedy szoł do Kwitka abo Łończyka i godoł: „Dejcie mi hyrtom-pyrtom, a jak sie wypyrtom, to wom za tyn hyrtom przypyrtom”. Starzi gospodorze wiedzieli, co chce utopek. Szło ło tragacz. Utopek wciepowoł nań szczewiki i spod mosta przekludzoł sie na gôra do Kuczery. Jak Kuczera widziół pociepniony trakacz na placu, to wiedziół, że mo byzuch w chałpie.

Utopek żodnymu niy zawodzoł – yno łowdy kedy Kuczera słyszoł klupanie. Dowoł tyż pozôr, coby niy słępać gorzoły, bo wiedziół, że utopki niy ciyrpiôm łozarciuchów. Utopek za to, że môg przezimować u Kuczery, bawił se ze dzieckami. Łowdy kedy Kuczerka słyszała bez dźwyrze śmiychy i błoznowani we izbie, kaj łostawiyla same dziecka. Bajtle chytały utopka za dugie, zielone wosy, syminały mu czerwony hutlik, szczypały w zielony nos i klepały po brzuchu. Utopek sie śmioł i kolyboł łobleczonymi w czerwone rajtuzki nogami. Ale jak Kuczerka wlażła do izby, to uciekoł yno deliny krzipały.

Jak prziszła wiosna i sie łociepliło, Kuczera pożyczoł tragocz i wystawioł go na plac. Potym znajdowoł go pod mostym. Wiedziół, że utopek sie wykludziół.

Przeprowadzka utopka

(na podst.: „Przeprowadzka utopca” w „Rozbójnik Pistulka i inne śląskie bajki”,
Wydawnictwo „Wokół Nas”, Gliwice 2000 r.)

Pewnego razu jechał furman z Rybnika do Gliwic. Po drodze zatrzymał go nieznajomy chłop i poprosił o podwiezienie. Furman zrobił mu miejsce koło siebie i ruszyli. Koń szedł powoli, z wysiłkiem, jakby ciągnął wóz pełen węgla. Gdy dojechali do **Wilczy**, chłop zsiadł z wozu i powiedział:

- Tu wysiadam. A jeśli się sam nie domyśliłeś, to mówię ci, że wiozłeś utopca. Właśnie przeprowadzam się do tutejszego stawu. Zapłacę ci dobrze, tylko nie mów nikomu, że mnie spotkałeś.

Kiedy furman przyjechał do domu, nie mógł ukryć swojej radości. W kieszeni miał dużą garść brzęczących monet. Po kolacji usiadł sobie i zaczął pogwizdywać. Jego żona nie wytrzymała z ciekawości i zapytała go:

- Dlaczego jesteś taki wesoły?

Furman zapomniał o obietnicy i opowiedział jej o niezwykłym spotkaniu. Chciał pokazać pieniądze, ale zamiast nich wyciągnął garść kozich bobków. Tak utopiec ukarał go za gadulstwo.

Przekludzka utopka

Roz fôrmôn jechoł ze Rybnika do Glywic. Po drodze zaczimoł go chop i poprosiôł, coby go podwiôz. Fôrmôn pônknôł sie i kozoł chopu siednyńc kole siebie. Pojechali. Koń szoł pomału i tak sie zdało, że mo fôra poľno wôngło, a przeca bôła pusto. Jak dojechali do **Wilczy**, chop śłoz ze fôrmanki i pedzioł:

- Tu już wyłaza. A jak som żeś się niy spokopiôł, to ci godôm iześ wiôz utopka. Przekludzôm sie do tutejszego stowa. Zapłaca ci dobrze, ale żodnymu nic niy godej, żeś mie widzioł.

Jak fôrmôn przijechoł do dom, to niy mog nastyknońc sie radować. We kapsie mioł dużo złociokôw. Po wieczery zaczyn sie pogwizdywać. Baba sie go pyto:

- A cożeś ty taki wyzgerny?

Fôrmôn zapomniôł, co łobiecoł utopkowi. Chciał pokozac złocioki i już rynka do kapsy wraziôł, ale wyciągnôł garść kozich bobków. Tak utopek skoroł chopa za klachanie.

Utopki z Wilczy

(udostępnione przez Aleksandrę Czechowską-Gąbkę)

W **Wilczy** do dziś ludzie pamiętają i wspominają, jak pewien pracownik magistratu z utopkami gadał. Do domu wracał późno. Bardzo bał się przechodzić przez most na Bierawce i koło stawu, z obawy, że utopki go postraszą. Najbardziej bał się, kiedy wracał do domu pijany (takim utopki najczęściej robią psikusów). Wtedy karmił utopki krupniokami i długo rozmawiał z nimi.

Kiedy kobiety z **Wilczy** chodziły do kościoła w Pilchowicach (w Wilczy jeszcze nie było kościoła), zdarzało się, że towarzyszył im mały człowieczek. Odprowadzał je do „glinioka” (staw na cegielni), a potem było słychać plusk i człowieczek znikał. Czasem na stawie pojawiał się gęsie skrzydło.

Utopki ze Wilczy

We **Wilczy** po dzisiok ludzie pamiyntajôm i spominajôm, jak jedyn byamter z utopkami godoł. Niyskoro przichodziôł do dôm. Fest sie boł przelazić bez most na Biyrawce i wele stowu, coby go utopki niy straszyły. Nojbardzi boł sie tam chodzić, jak bôł naprany, bo wiedzioł, że łożarciuchôm utopki nojbardzi robiôm na sprzyk. Jak już mu sie tak przidarzyło, to karmiôł utopków krupniokami i dugo śnimi godoł.

Jak jeszcze we **Wilczy** niy bôło kościoła, to baby chodziły na mszo do Pilchowic. Nikiedy szoł śnimi mały chopeczek. Łodkludzoł je do glinioka, a potym yno słyszały plusk, a chopeczek sie traciôł. Nikiedy na wodzie yno bôło widać krzidło łod gyński.

Utopki ze Stanicy (Andrzej Knapik)

*Nikt już w **Stanicy** nie pamięta, skąd przyszły do nas utopce. Wiadomo, że mieszkaly z nami jeszcze do niedawna, a zmarła kilka lat temu mieszkanka Rusinowego Młyna jako mała dziewczynka nieraz nieźle się z nimi naużerała.*

Miały bowiem utopce swoje humory. Raz potrafiły pomagać młynarzowi w pracy przy ogromnych kamiennych żarnach, innym znów razem całymi dniami wylegiwały się na piecu do chleba, oddając się słodkiemu nieróbstwu.

Bywały u nas utopce różne. Te najwcześniej u nas mieszkające miały postać psa lub zająca, o sierści nieco zielonkawej. Nieczęsto wychodziły z wody lub szuwarów. Kiedy były głodne, przybierały postać krasnoludków i pomagały młynarzowi w pracy za odrobinę pożywienia. Takie to utopki mieszkaly jednak w bardzo odległych czasach.

W tamtych to latach snuły się po tutejszych bagniskach głównie złośliwe utopce. Nikt tak dokładnie ich nie widział, wychodziły bowiem po zmroku i światłami – latarniami wskazywały wędrowcom drogę. Często jednak zwabiały ich w głębokie zapadliska i topiły lub dla zabaw, wodziły wędrowców całą noc po bagnie. Najczęściej spotykało to powracających z wiejskiej karczmy mocno „wstawionych” gospodarzy, więc wątpić można, czy z tym błędzeniem utopce miały naprawdę coś wspólnego.

Odeszły ze Stanicy utopce po osuszeniu tutejszych bagien, co działo się jakieś 700 lat temu. Jedna z legend tłumaczy, dlaczego stanickie utopce opuściły nasze stawy.

Działo się to w czasach, kiedy do Stanicy zaglądali z taborem Cyganie. Ich ulubionym miejscem postoju była łąka obok stawu, a ulubioną rozrywką - gra na skrzypcach. Uwielbiały utopce słuchać cygańskiej muzyki i ze smutkiem żegnały cygański tabor. W końcu zapragnęły same nauczyć się gry na skrzypcach. Zgodzili się Cyganie udzielić im lekcji gry, lecz pod warunkiem, że utopce zgodzą się na obcięcie im długich paznokci, które przeszkadzałyby im w grze.

Zabrali się Cyganie do roboty w ten sposób, że wkręcili utopcom palce w imadła i pilnikami spiłowali szpony. Krzyki utopców słyszać podobno było aż w sąsiednich wioskach. Obraziły się na Cyganów okropnie i poprzysięgły im zemstę.

Pochowały się w wodzie i czekały na okazję. Zdarzyło się w końcu, że wybrali się Cyganie łodzią na spacer po stawie. Rzuciły się wtedy utopce na łódź, chcąc ją zatopić wraz z pasażerami. Zobaczyli Cyganie, że śmierć bliska, a wtedy jeden z nich, chcąc okazać, że się ich nie boi, zdjął spodnie i pokazał utopcom goły zadek. Ten widok skojarzył się utopcom z imadłem i wpadły w taki popłoch, że uciekły ze stawu i nikt ich już nigdy w Stanicy nie widział.

Ta legenda wciąż jest żywa w Stanicy, choć nie przekazują jej wnukom babcie, lecz krąży jako anegdota opowiadana przy kufli piwa. Może i jest w niej ziarno prawdy, no bo gdzie się w końcu utopce podziały, skoro zawsze w Stanicy było im dobrze?

Utopki ze Stônicy

Žodyn juž we **Stônicy** niy pamiynto, skônd wziyny sie utopce. Wszyjscy wiedzôm, że jeszcze niydowno żôły z nami we wsi, a jedna baba z Rusinowego Młyna – co to jôm niydowno Pônôczek wziôn do sia – dość sie śnimi naużyrała.

Po tych utopcach szło sie wszyskigo spodziywać. Roztomajte robiły breweryje. Niykiedy pomagały młynorzowi při srogich kamiyniach při żarnach, a niykiedy jak nojwiynksze zgniyluchy leżały na piekarnioku. Niy szło za niymi trefić.

Utopce tyż bôły roztomajte. Te piysze, co prziszły, bôły jak psy abo hazoki co miały zielône kudły. Łowdy kedy yno wylazyły z wody abo barzołów. Jak bôły głodne, to zamiyniały sie w krasnoludki i pomagały ludziôm choby yno za ździebko kustu. Takie utopki miyszkały downi i jeszcze downi we Stônicy.

Potym po barzołach zaczęły sie panoszyć fest łoszklive utopce. Co prowda žodyn prawie ich niy widzioł, bo wylazyły jak juž bôło ćma i światełkami blyndowały tym, co radzi rajzowali we nocy. Ale tyż szło sie chachnyńć na tym, bo utopce wobiły ludzi na barzoły i topiły abo smyczyły fôrt po bagnie i mokrzyskach cołko nocka. Bezmała łozyrokôm co szli nazod do dôm to sie trefiało. Beztôž žodyn niy wiy, jak to było po prowdzie. Potym wykłudziły sie utopce ze Stônicy. Można ze 700 lot tymu poszły fôrt daleko, bo ludzie łobsuszyli bagna. Jedna z legynd klaruje, czamu poszły daleko.

To bôło wtedy, kedy jeszcze do Stônicy przyjeżdżały tabory ze Cygonami. Cygony nojbardzi rade stowały kole stowu i wdycki było dużo muzyki i granio na krzipkach. Utopce rade słuchały tego granio i niychersko im bôło, jak Cygony wyjeżdżały. Prziszło czas, jak utopcôm zachciało sie tyż umieć grać na krzipkach. Cygony zgodziły sie, ale pedziały, że yno wtedy, jak utopcôm łobetnôm pazury, bo inaczy niy idzie grać. No tôž sie Cygony wziyny do roboty. Wkrynciły utopkom pazury do szrałbsztoka i raszplôm zaczęli fajlować. Utopce zaczęły sie ciepać jak sagi w pokrzywach. Te larmo i butel dało sie słyszeć aże we sômsiedni wsi. Łobraziły sie utopki na Cygonów i poprzisiyngły im pomsta. Poskrywały sie we wodzie i czekały. Keregoś dnia Cygony wybrały sie łôdkôm po stowie. Na utopce nie trza bôło długo czekać. Ciepły sie ku łôdce i chciały jôm utopić do kupy ze Cygonami. Cygony pomiarkowały, że śmierćka je juž blisko. Łoroz jedyn drapko sjôn galoty i wypnôł goło rzić utopkôm. Te zaś myślały, że to można sôm te szraubsztoki i kalupym piły ze stowu. Žodyn juž ich wyncy we Stônicy niy uwidzioł.

Łosprowka ta godajôm jeszcze ludzie we Stônicy – ale niy starki bajtlôm, yno chopy godajôm jôm při piwsku.. Można to i je prowda, bo czamu utopki sie wykłudziły, jak bôło im tak dobrze we Stônicy?

Zapłata utopka

(udostępnione przez Aleksandrę Czechowską-Gąbkę)

Dawniej ludzie chodzili do lasu po chrust i szyszki, żeby palić nimi w piecu.

Pewna kobieta, wybrała się do lasu z dwojgiem dzieci. Kiedy uszli spory kawalek, dzieci poprosiły ją o chleb. Zatrzymali się, kobieta wyjęła z torby dwie kromki i dała dzieciom.

W tym momencie pojawił się przy nich mały chłopczyk i również poprosił o chleb. Kobięcina jemu też dała kromkę. Chłopczyk, zamiast podziękować, nabrał w ręce suchych liści i rzucił je na kobietę, a sam uciekł w stronę rzeki. Usłyszeli tylko plusk. Kobietę to trochę zdenerwowało: „Ładna mi zapłata za chleb” - pomyślała. Liście zsunęły się na ziemię, a kobieta z dziećmi poszła dalej. Kiedy znowu sięgała po chleb, w torbie zobaczyła dwa listki. Chcąc je ze złością wyrzucić, wzięła liście do ręki i poczuła, że trzyma w dłoni dwie

szczerozłote monety. Zrozumiała się, że miała do czynienia z utopcem i że źle oceniła jego zachowanie.

Zapłata utopka

Downi ludzie chodzili do lasa po chrost i szyszki, coby polić nimi pod piecym. Jedna baba wybrała się z dwoma dzieckami do lasa. Uszli kônssek i bajtlôm zachciało się chleba. Stanyli, baba wyciôngła dwa krajiczki i dała im. Łoroz pokozoł się przy nich synecek i tyż poprosił o chlyb. Baba dała mu krajiczek. Synek ani niy podziynkowoł, yno wziôn suchych liści i jôm łobciepoł, a sôm uciyk do rzyki. Usłyszeli yno plusk. Baba się trocha znerwowała: „Tôż mi zapłata!” – pomyślała. Liście śleciały na ziymia, a ona z dzieckami poszła dali. Jak juzaś zachciało się bajtlôm chleba, baba siôngła do taszy i ujrzała w ni dwa listki. Chciała je z nerwów wyciepać, ale jak wziôna do rynki, narozki poczuła, że mo w ni dwa złocioki. Kapła się, że to bôł utopek i że źle o nim pomyślała.

Utopki z Leboszowic i okolic

(udostępnione przez Aleksandrę Czechowską-Gąbkę)

Mieszkaniec **Leboszowic** musiał jechać upiec chleb do Pilchowic. Przygotował tragacz zrobiony z gałęzi wierzby rosnącej nad Bierawką i poszedł. Kiedy zmęczony wracał z chlebem z Pilchowic, przysiadł na górze przed mostem na Bierawce i zapalił fajkę – nie śpieszyło mu się. Podszedł do niego chłopiec i powiedział: „Dejcie mi te hyrtom-pyrtom (pokazując na tragacz), a jak się popyrtom, to wam go nazod przipyrtom”. Leboszowianin popatrzył na dziecko, zaciągnął się dymem z fajki i odpowiedział: „To się popyrtej”. Chłopak złapał tragacz z chlebem i „popyrtoł” w stronę mostu na Bierawce, krzycząc: „Te chłabiny (gałązki) są ze naszymy rzyki!”. Gospodarz usłyszał plusk i nie zobaczył już ani chłopca, ani tragacza zrobionego z gałęzi wierzby, ani chleba. Wtedy zorientował się, że chłopak to utopek – „diosecki gizd”.

Do młynarza Tima, w **Leboszowicach**, przyjechał Franciszkanin, żeby coś dla podopiecznych dostać. Nie wyjeżdżał z pustymi rękami. Młynarz przy pożegnaniu poprosił Franciszkanina o pomoc. „Mam trzy córki na wydaniu. Jeśli spotkasz dobrego kawalera, przyslij go do mnie.”

Po pewnym czasie przyjechał kawaler, w pięknej bryczce zaprzężonej w piękne konie. Kiedy młynarz dogadywał się z nim co do żeniaczki, we młynie słychać było straszny hałas. „To te pierońskie gizdy żyniom się” – powiedział młynarz. Kawaler myślał, że to inni kawalerowie już się cieszą i był trochę zły. Młynarz wytłumaczył, że to utopce się złoszczą, bo kawalerowie sprzątają im sprzed nosa piękne dziewczyny.

Kiedy kawaler wyjeżdżał, stanął przed młynem i głośno zawołał: „Jak następnym razem przyjadę, to z tymi „pierońskimi gizdami” zrobię porządek.”. Niedługo po wyjeździe kawalera we wsi było słychać straszny hałas, a następnego dnia ludzie znajdowali części bryczki, porozrzucone po obu stronach rzeki Bierawki. Po kawalerze wszelki ślad zaginął...

Na **Łęgu** ludzie pracowali przy sianie. Mała dziewczynka chlapała się w wodzie. W pewnym momencie zauważyła, że po wodzie płynie wstążka. „Mamo, mogę wylowić te kolorową wstążkę?” - zawołała. Mama pozwoliła. Dziewczynka zrobiła krok do przodu i zniknęła pod wodą. Choć w tym miejscu było płytko i ludzie natychmiast rozpoczęli poszukiwania, dziewczynki nie znaleziono. Wytłumaczenie było jedno: to utopki zwabiły i porwały dziewczynkę.

*Do młynarzowej, na **Bierawce** (przysiółek Pilchowic) - przyszła znajoma. Młynarzowa poprosiła ją do altanki. „Bo w domu te gizdy utopki znowu się tłuką. W nocy poprzecinały rzemienie, wysypały mąkę z worków, narobiły dużo szkody. Będzie musiał mąż znowu rzucić im cielaka, to na jakiś czas będzie spokój” – powiedziała.. Niedawno nowy właściciel teren, czyścił staw i znalazł kilka czaszek cielących - tak mówią ludzie. Powróciły też opowiadania o utopkach i młynarzu z Bierawki.*

Utopki z Leboszowic i okolic

Chop ze **Leboszowic** musiał jechać do Pilchowic, coby tam u piekorza upiyc chlyb. Prziszykował tragacz ze chłabin wyrzbowych, kere rosły przy Biyrawce, i pojechał. Jak już jechał nazod – fest słaby, bo sie narobił przy tym chlebie – tóż sie siednół na gôrce pod mostym i zakurzył fajka – niy uwijało mu sie. Narozki prziloz ku niymu synek i tak pedzioł: „Dejcie mi te hyrtom-pyrto (pokozoł na tragacz), a jak sie popyrto, to wôm go nazod przipyrto”. Leboszowiôn wejrzoł na bajtla, pyknół fajka i pedzioł: „To sie popyrtej”. Synek łapsnół tragacz ze chlebym i popyrtoł ku Biyrawce. Wołół „Te chłabiny sôm ze naszymy rzyki!”. Zanim sie pampôn kapnył – usłyszół plusk i za chwila niy widzioł już ani bajtla, ani tragacza, ani chleba. Terozki już wiedzioł, że to był utopek – diosecki gizd!

Do młynorza Tima ze **Leboszowic** przijechoł Franciszkôn, coby cosik erbnôć do tych, kerymi sie opiekował. Niy wyjyżdzoł ze pustymi rynkami. Jak młynorz sie żegnoł, poprosiół Franciszkôna, coby mu pomôg” „Mom trzi cery, Jak spotkocie porzôndnego karlusa, to posłejcie go do mie”. Za pora dni przijechoł karlus jak świyca we piykny bryczce ze jeszcze piyknijyszymi kôniami. Jak młynorz domowioł sie ze karlusym co do żyniaczki, we młynie doł sie słyszeć wielki butel. „To te pierônskie gizdy sie żyniôm” – pedzioł młynorz. Kawalyr myśloł, że to inksze kawaliry sie już radujôm i bôł trocha zgorszôny. Młynorz wyercyjlowoł mu, że to utopce larmujôm skiż tego, że karlusy bierôm im piykne dziolchy. Kedy kawalyr wyjyżdzoł, stanół przed młynym i głośno zawołoł: „Jak na drugi roz przijada, to z tymi pierônskimi gizdami zrobia porzôndek”. Niydugo po wyjeździe karlusa we wsi bôło słyszeć wielkie larmo, a na drugi dziyń ludzie znodli kônski bryczki porozciepowane kole Biyrawki. Po karlusie niy bôło śladu...

Na **Lyngu** ludzie robili we sianie. Niywiela dali mało dziolszka toplą sie we wodzie. Łoroz uwiadziła, że po wodzie pływo szlajfka. „Mama, moga chycić ta kolorowo szlajfka?” – zawołała. Mama ji pozwołyła. Dziolszka zrobiyła jedyn krok do wody i ... straciły sie. W tym miejscu bôło płytko, beztôż ludzie zarozki zaczi skokać do wody i jôm szukać. Ale niy znodli. Wszyjscy sie kapli, że to utopki zwobiły i porwały dziolszka.

Do baby młynorza na **Biyrawce** przisła kamratka. Młynorka zakludziyła jôm do lauby „Bo w doma te gizdy utopki zaś sie lejôm. We nocy potły rzymiynie, wysypały mônka z

miechów i narobiły mocka szkody. Bydzie musioł mój ślubny wziepać im cielika, to bydzie jakiś czas pokój” – pedziała.

Niydowno nowy pampôn łoporzôndzoł stow i znod pora kości ze łebów cielików – tak ludzie godajôm. I zaś zaczęły sie godki o utopkach i młynorzu z Biyrawki.

Uczynny utopek

(udostępnione przez Aleksandrę Czechowską-Gąbkę)

*Dziadek był kowalem w **Pilchowicach**. Do jego kuźni przez pewien czas przychodził niski mężczyzna, w zielonym ubranku i czerwonych butach. Siadał na krześle, i obserwował jak dziadek pracuje – czasem coś zagadał. Po pewnym czasie gość złożył u dziadka zamówienie na pług i brony dla pewnego rolnika. Dziadek zamówienie zrealizował. Rolnik jednak nie przychodził. Kiedyś dziadek spotkał tego rolnika od zamówienia w kościele i mówi, że brony i pług są zrobione. Rolnik się zdziwił, bo dopiero chciał złożyć zamówienie. Sprawa się wyjaśniła. Kiedy kowal opisał posłańca, okazało się, że tak wyglądał utopek, który był częstym gościem rolnika.*

Uczynliwy utopek

Starzik bôł kowolym we **Pilchowicach**. Do niego do kuźnie nikiedy przychodził mały chopek – taki szkyrtek – we zielonym szakeciku i czerwonych szczewikach. Siadoł na stołku, prziglôndôł sie robocie starzika, a nikiedy coś pedzioł. Niy trwało dugo jak chopek łobsztelowoł u starzika pług i brona do jakigoś istnego gospodarza. Starzik to zrobiôł, ale tyn pampôn jakoś po to niy przyjyżdżoł. Kedyś starzik spotkoł tego pampônia we kościele i godo, że brony i pług sôm już gotowe. Istny godo, że przeca łôn dziepiyro chcioł łobsztelować to u niego. Kapli sie, jak starzik pedzioł, jak wyglôndôł tyn, co śnim wtedy godoł. To bôł przeca utopek, kery czynsto-gynsto bywoł u pampônia.

Utopki z Nieborowic

(udostępnione przez Aleksandrę Czechowską-Gąbkę)

Kiedy babcia jako dziecko szła z krowami na łąkę, brała z domu kilka kromek chleba ze sobą. Chleba musiało wystarczyć na cały dzień. Pastwisko było za rzeką. Krowy przechodziły brodem, dla ludzi była zrobiona ława (kładka).

Babka często na kładce spotykała chłopczyka, który siedział na drugim końcu, patykiem bił wodę i nie przepuścił nikogo, dopóki nie dostał kawałka chleba – wtedy wskakiwał do wody i znikał. Pewnego razu chłopczyk przyszedł dopiero, jak krowy pasły się już na łące, nie dostał więc chleba. Odwrócił się i poszedł nad rzekę. Po chwili rozległ się hałas odbijanych z kładki desek, a fruujące deski było widać z daleka. Kładka została zniszczona.

*Pewna gospodyni z **Nieborowic** zaoszczędziła trochę pieniędzy i wysłała męża na targ po prosiaka. Gospodarz lubił sobie wypić. Jak zobaczył, ile żona dała mu pieniędzy, to zaczął przeliczać, ile można za nie kupić wódki. Dróżka prowadziła przez łąkę nad rzeką. Gospodarz zobaczył, że po łące biega mała świnka. Złapał ją, wsadził do worka i cieszył się na myśl, ile będzie mógł za zaoszczędzone pieniądze kupić butelek wódki. Ponieważ przy drogach grasowały bandy złodziejskie, więc pieniądze schował do worka ze świnką. Kiedy szedł przez kładkę na rzece, świnka w worku zaczęła strasznie rozrabiać. Gospodarz zatrzymał się, żeby sprawdzić, co się dzieje. Wtedy worek wpadł do wody. Gospodarz został*

na mostku bez świni i pieniędzy. Z wody wynurzył się uśmiechnięty utopek i zagrał na nosie. Gospodarz rozumiał, co się stało, a co go czekało w domu, lepiej nie mówić. Utopki potrafią się zmieniać w psa, konia i świnię. Nie lubią pijaków i im najczęściej robią psikusy.

*Przed stu laty mieszkańcy **Nieborowic** musieli, przez trzy lub cztery dni, pracować we dworze. Krowy, konie, kozy i owce zostawiali na pastwiskach, pod opieką innych mieszkańców. Wieczorem pilnujący zapalali ognisko. Przychodził wtedy do nich mały człowieczek – utopek. Opowiadał różne historie, szył i latał podarte ubrania pilnujących. Kiedy jednak mężczyźni rozzłoszcili czymś utopka, wtedy ten rozganiał pilnowane zwierzęta we wszystkie strony i mężczyźni musieli następnego dnia szukać ich po całej okolicy.*

***Nieborowice** leżą nad rzeką Bierawką. Dawniej, kiedy chłopcy paśli krowy, kozy, owce, dla rozrywki kąpali się w rzece. Zdarzało się, że podczas kąpieli, nagle powstawały duże fale. Chłopcy wyskakiwali z rzeki, ale nie mogli znaleźć swoich ubrań. Wtedy słyszeli dochodzący z wody głośny śmiech. Swoje ubrania, znajdowali na pobliskich drzewach lub krzewach. Jeszcze dziś ludzie opowiadają historie o utopkach, które słyszeli od dziadków i pradziadków.*

Utopki z Niyborowic

Jak starka szli jako dziołszka ze krowami na łonka, brali zawdy pora krajczków chleba ze sobóm. Chleba musiało styknôńć na cołki dziyń. Łonka bôła za rzykôm. Krowy przechodziły bez woda, kaj bôło płytko, a do ludzi zrobiôny bôł taki mosteczek. Starka łowdy kedy trefiała na syneczka, kery siedziôł na drugim końcu mosteczka, patykiem praskôł ło woda i niy przepuścił żodnego, jak niy dostał kônska chleba – zaroz potym skokoł do wody i traciôł sie. Kedyś synek prziszôł niyskoro – dziepiyro jak krowy już bôły na łonce - i beztôż niy dostał chleba. Łobrôciôł sie i poszôł nad rzyka. Za jakiś czas ludzie słyszeli larmo: to synek łodbijoł deski ze mostka, a tak fest nimi fronkoł, że bôło widać z daleka. Mostek zostoł zniszczôny i wszyjscy wiedzieli, iże to mo na sumyiniu utopek. Yno czy łon mo sumyynie?

Jedna pampońka ze **Niyborowic** naszporowała trocha piniôndzów i posłała swojigo chopa na targ po gusika. Tyn jeji chop rod sie wypiół. Jak łobejrzoł, wela mu baba dała piniôndzów, to zaczon ształnować, wela może za to kupi gorzołki. Szôł drogôm przez łonka nad rzykôm. Narozki dojrzoł, że po łonce tyro mały gusik. Chyciôł go i wraziôł do miecha. Radowoł sie, że bydzie môg te cołkie piniôndze przefultać na gorzoła. Bôł sie, że piniôndze mogôm mu ukraść jakie chachary, beztôż schowoł je do miecha ze gusikiym. Jak przełaziôł bez mostek, gusik we miychu zaczon łogrômnje huncfocić. Chop stanôł coby łobejrzyć, czamu tak larmuje. Narozki miech wleciôł do wody. No i piniôndze tyż. Pampoń cołki bamontny zostoł bez gusika i bez piniôndzów. Ze wody wystyrzył łeb utopek i rzoł sie ze chopa na cołki pysk. Pampoń spokopiôł, co sie stało i durś wylynkany myśłoł, jak go w dôma przywito staro. Utopki umiôm zamiyniać sie we psa, kônia abo i prosia. Niy ciyrpiôm ożarciuchów i robiôm im na sprzyk.

Sto lot tymu ludzie ze **Niyborowic** musieli chodzić na pańskie trzi abo sztyry dni we tygodniu. Krowy, kônie, kozy i łowieczki łostowali na łonkach. Dowali na nie pozôr inksze

niyborowiczany. Ci zaś każdy wieczôr robiyli fojerka. Przychodziôł do nich mały chopek-utopek. Łosprowioł bele jakie bojki, szył i sztopowoł łoblyczki tym, co dowali pozôr na gowiydź. Jak yno chopy znerwowali czymś utopka, rozgônioł gowiydź fôrt daleko, a potym musieli ji nazod skludzać.

We **Niyborowicach** płynie rzyka Biyrawka. Downi, jak synki paśli krowy, kozy i łowce, do śmiychu kômpali sie w rzyce i wyrobiali we wodzie. Roz za czas narozki pokazowały sie wielkie fale. Chopcy wyskakiwali drabko ze wody, ale nikaj niy umieli znejść swoich łoblyczy. Rozglôndali sie naobkoło i yno słyszeli śmiychy łod strôny wody. Potym znajdowali po drzewach abo krzokach porozciepowane łoblycze. Dzisiok jeszcze łosprowiajôm ludzie bojki ło utopkach, kere słyszeli łod starzików i starsoszków.

O ZDRZÔDEŁKACH I STOWACH

Cudowne źródło

(legenda prezentowana podczas IV Konkursu Wiedzy o Powiecie Gliwickim)

*Kilka kilometrów za **Stanicą**, miejscowością w gminie Pilchowice, bije leśne źródło „Zimny Sztok”. Stara legenda opowiada o księciu raciborskim, który zgubił się podczas łowów w pięknych, stanickich lasach. Będąc w pobliżu tego źródła, zaczerpnął z niego wody, doznał olśnienia i bez problemu znalazł drogę powrotną do swojego zamku. Z leśnym źródłem w Stanicy wiąże się także pewien przesąd. Jeśli któremuś ze starszych mieszkańców okolicy nagle zachciało się pić leśnej źródłanki, oznaczało to, że jego dni są policzone i czas rozstawać się z ziemskim padółem. Dwa sprzeczne niejako podania nie wpłynęły specjalnie na renomę popularnej w okolicy wody. Biję ona ze źródła z niesłabnącą siłą, a kto choć raz zaczerpnie z niego wody, na pewno przynajmniej raz w życiu poczuje się naprawdę szczęśliwy.*

Cudowne zdrzôdelko

Za **Stonicôm** we gminie Pilchowice bije zdrzôdelko „Zimny Sztok”. Staro lygynda godo, że kiedyś ksiônże raciborski stracił sie, jak był na gôn timer w piyknych stonickich lasach. Uwidzioł zdrzôdelko, nabroł wody do rynki i się napiôł. Zarozki tyż spokopioł, kaj je i znod drôga nazod do zômku.

A inszo lygynda pado, że jak komus tak fest zachce się wody ze leśnego zdrzôdelka, to mo dać pozôr, bo chneda przidzie po niego śmierotka. Dwie bojki na sprzyk. Jedna tak, drugo blank inaczy. Tak czy siak, jak napijesz się yno roz wody z tego zdrzôdelka – poczujesz sie naprowda szczęśliwy.

O źródle w Stanicy

(Andrzej Knapik)

*A działo się to w odległych bardzo czasach. Ciężko pracowali **staniccy** chłopci na kawałek chleba. Dzień pracy zaczynał się skoro świt, a kończył po zachodzie słońca. Pracowali chłopci na uprawnych polach, przy stawach rybnych, pasiekach i przy wyrębie lasu. A drzewa potrzeba było sporo, aby zaspokoić potrzeby sprowadzonych przez braci cystersów hutników. Ci z cudzoziemska mówiący osadnicy, bez ustanku palili ogień w ogromnym hutniczym piecu i wypalali w nim sobie tylko znanymi sposobami żelazo z rudy darniowej. Tą zaś wydobywali z jam rytych w ziemi górnicy, też przez braci Cystersów sprowadzeni z*

odległych krain. Miejscowi całą zamieszkałą przez nich nową część wsi zwali Górniki, a nazwa ta przetrwała do dnia dzisiejszego.

Jednym z pracujących w lesie drwali był stanicki chłop Maciej. Pracowity był z niego człowiek, do pracy wychodził, kiedy na dworze robiło się odrobinę widno, pracowity dzionek kończył, kiedy zapadał zmrok.

Mimo swojej pracowitości niewiele majątku się dorobił, z każdego kąta chaty wyglądała bieda.

Pewnego dnia, kiedy zajęty był karczowaniem lasu, zauważył, że z wielką z uwagą przygląda się jego pracy ktoś o cudzoziemskim wyglądzie. Jak wszyscy mieszkańcy Stanicy był jednak przyzwyczajony do widoku ludzi „z pańska” ubranych. Od zarania dziejów była bowiem Stanica miejscem postoju kupieckich karawan, a w domu klasztorного sędziego czy sołtysa nieraz nocowali goście raciborskiego księcia, którzy - bywało - urządzali sobie spacer po lesie.

Ten jednak „cudzoziemiec” okazał się znać tutejszą mowę. Zdjął kosztowny kaftan i zaproponował Maciejowi pomoc przy pracy.

- Nudzę się okropnie i trochę fizycznej pracy dobrze mi robi. Nie chcę przy tym od ciebie nijakiej zapłaty, powiedział „cudzoziemiec”.

Wiedział Maciej, że „paniczycow” różne miewają fanaberie, więc rad-nierad zgodził się na zaoferowaną mu pomoc. Pracowali obaj ciężko do zachodu słońca. Zdziwił się Maciej, kiedy następnego ranka dziwny „cudzoziemiec” już czekał na niego, aby mu znowu pomagać. I tak trwało to dni kilka, aż raz zrąbane drzewo upadając, końcami gałęzi strąciło „cudzoziemcowi” czapkę, odsłaniając na jego głowie niewielkie różki. Poznał wtedy przerażony Maciej, że ma do czynienia z diabłem. Ten jednak rzekł uspokajająco:

- Niczego się nie obawiaj, nie chcę przecież od ciebie zapłaty. Ale żeby moja praca była wynagrodzona, przyniesiesz mi z domu to, czego tam nie masz. Jutro, skoro świt mi to przyniesiesz.

Głupi jakiś ten diabeł, pomyślał Maciej i zgodził się na jego żądanie. Kiedy jednak wrócił do domu, przekonał się szybko o diabelskiej chytrości.

W domu bowiem przywitała go nowina, że właśnie urodził mu się pierworodny syn i to on był „tym, czego nie miał”, kiedy rozmawiał z diabłem.

Z ciężkim sercem wziął rano syna do lasu, licząc, że może uda mu się ubłagać diabła. Padł przed nim na kolana prosząc o litość dla dziecka. Ten jednak ani słyszeć nie chciał o zwolnieniu Macieja z obietnicy.

Pomyślał nieszczęśliwy ojciec, że przynajmniej nie odda diabłu nie ochrzczonego dziecka i wodą, która zebrala się w miejscu, w którym klęczał, ochrzcił syna. Rozdzwoniły się wtedy dzwony w pobliskim klasztorze cystersów w Rudach, pociemniało niebo, wiatr straszny powiał pomiędzy drzewami. W tumanie kurzu rozwił się diabeł, złorzecząc okropnie, że nie udało mu się kolejna diabelska sztuczka.

Zaś w miejscu, skąd Maciej nabrał wody do ochrzczenia syna, popłynęło źródło, nazwane przez ludzi „Zimny Sztok”, w którym do dzisiaj woda ma cudowne właściwości leczenia duszy i ciała.

Maciej i jego rodzina szczęśliwie dożyli swych dni w naszej pięknej Stanicy.

O źródle we Stônicy

Za starego piyrwy stônické chopy ciynżko bakali na chlyb. Zaczynali robota ledwie dniolo, a kończyli jak słoneczko zaszło. Robiyli na polu, przy stowach rybnych, pasiekach i najmowali sie za siôngorzy do lasa. A mocka było drzewa trza hutnikôm, kierych sprowadzili Cystersy. Te hutniki zaś blank inaczy godały, bo prziszły z daleka. Ciyngiym polili we srogich piecach i wypolali jakimś kônsztym żelazo ze rudy darniowy.

Ta ruda darniowo wyciõngali ze dziur wykopanych we zymy górnik – kopocze. Tych kopoczy tyż skludziyli Cystersi z daleka, a potym wsi dali miano „Gõrniki”. Tak jest do dzisiok – ta wieś stoi.

Jednym ze siõngorzy bõł stõnicki chop niyjaki Maciyy. Bõł fest robotny. Do roboty wyłaziõł jak yno dniało, a przichodziõł nazod jak bõło ćma. A i tak w chałpie bõła biyda.

Keregoś dnia, jak robiõł, ujrzoł jakigoś panoczka, kery sie mu prziglõdoł. Spoczontku niy bõło mu to dziwne, bo łowdy kedy po Stõnicy kryncyli sie po pańsku łobleczyli ludzie. Stõnica przeca leżała na kupieckim szlaku, a i w dõma u klasztorneho syndziego abo szołtysa niyroz spali goście raciborskiego princa, a potym szpacyrowali po lesie. Ale tyn istny znoł tukejszo godka. Symnył drogi kabot i pedzioł, że pomoże Maciyyowi: „Fest mi sie przni, a jak sie trocha przerobia, to dobrze mi to robi. I niy chca żodny zapłaty” – pedzioł pomocnik.

Wiedzioł Maciyy, że panoczki majõm niykiedy swoje fanaberyje, no i rod - niyrod przistoł na to. Łoba robili aże do wieczora.

Na drugi dziyń, jak Maciyy prziszoł do lasa, to panoczek już na niego czekoł. Maciyy myśloł, że mu sie zmierzło – a tu niy! Tak to trwało pora dni. Roz gałynzie ściepły istnemu mycka ze gowy i wtedy Maciyy wylynkany ujrzoł dwa rogi na czole panoczka. Pomiarkowoł, że bõł to dioboł. Ale tyn pedzioł: „Niy bydź tak wylynkany. Niy chca przeca zapłaty. Ale, coby cosik od ciebie erbnõć, to prziniesiesz mi z dõma to, czego tam niy mosz. Jutro mi to prziniesiesz!”. „Pogupiały jakiś tyn dioboł!” – pomyśloł Maciyy, ale przistoł na to.

Jak prziszoł nazod do dõm, to dziepiyro pomiarkowoł, że doł sie nabrać! W dõma sie dowiedzioł, że baba mu śległa i mo syna. Piyrrworodnego! Fest stropiony na drugi dziyń wziõł syna i poszoł do lasa. Myśloł przy tym, że mono udo mu sie ucholkać diobła. Klynknõł przed nim na kolana i prosiõł go ło zmiłowanie. Diosek niy chcioł ło tym słyszeć! Maciyy pomyśloł, że musi nojprzõd syna łochrzcić i wodõm, kiero sie zebrała pod jego kolanami, łochrzciõł bajtla. Narozki rozdzwoniły sie zwõny w pobliskim klasztorze Cystersõw we Rudach. Niebo sie zakalyło, wiater srogi zawioł. Zakurzyło sie fest i w tym kurzu dioboł - kery klõn jak diosi – sie rozwiõł. Niy udała sie diobelsko sztuczka!

W tym zaś miejscu, kaj klynczoł Maciyy i kaj zebrała sie woda, pokozalo sie żrzõdelko, kere ludzie nazwali „Zimny Sztok”, a woda w nim mo cudowno moc uzdrawianio duszy i ciała. Maciyy i jego familijo dożyli lot we piykny nasz Stõnicy.

O źródle w Goju

(tekst prezentowany na konkursie legend z terenu powiatu gliwickiego przez Barbarę Gawoł, przygotowany pod kierunkiem Anny Płoskonki)

*Przed wiekami na polach w **Goju** ludzie wzniesli kapliczkę ku czci Najświętszej Matki Boskiej. W tych czasach żyła w Wiśniczu hrabina, która miała psa – przyjaciela. Lubiła spacerować tu i tam ze swoim zwierzęciem. A było w Goju źródelko, z którego bila czysta i zdrowa woda o uzdrawiającej mocy. Hrabina i jej pies wybrali się pewnego letniego dnia na spacer do kapliczki. Pomodliła się hrabina, a że dzień był lipcowy i upalny, postanowiła wykąpc swojego piupila w czystej, źródlanej wodzie. Kiedy to robiła, obraziła się Najświętsza Panienka, a źródelko w jednej chwili starciło wodę. Do dziś stoi tam pusta studnia, na której dnie leżą ogromne glazy i kamienie, ale wody już nie ma i myślę, że nigdy nie będzie.*

O zdrzõdle w Goju

W **Goju** w polach downo, downo tymu ludkowcie wybudowali kapliczka do Nojśwyintszyj Matki Boski. We Wiśniczu w tych czasach żõła w pałacyku hrabina, kero miała swojigo kamrata - psa. Lubiõła chodzić na szpacyry ze swojym zwierzõntkiym. Szpacyrowała sie tu i

tam. A w tym Goju przy kapliczce było zdrzżdółko, z kerego leciała bardzo czysto i zdrowo woda. Miała ona moc uzdrawiająco. Hrabina i jej pies poszli keregoś letniego dnia do tyj kapliczki na szpacyr. Porzykała tam nojprzód, a kej był to upalny, lipcowy dzień, postanowiła wypłuskać swojego pupila w tyj czysty, zdrzżdłany wodzie. Jak go wypucowała, tak się naszo Świynto Paniynka pogniywała. Zdrzżdółko w jednyj chwili straciło woda. Do dzisiej stoi tam pusto studnia, w keryj som yno na dnie srogie głązy i kamiynie, ale wody już niy ma i myśla, co niy bydzie.

„Żabi Dół”

(udostępnione przez Aleksandrę Czechowską-Gąbkę)

*Opowiem wam, jak to za dawnych czasów nie było u nas jeszcze probostwa ani kościoła. Stary ksiądz szedł ze **Stanicy do Pilchowic** do chorego. Bolały go nogi. Wszedł do karczmy, żeby pożyczyć bryczkę z koniem. Był post. W karczmie było gwarno, rojno i hucznie się bawiono. Kiedy ksiądz to zobaczył, bardzo się zdenerwował. Pomyślał, że na pewno cieszy to diabła. Duchowny wielce się zdenerwował i rzucił klątwę: „Niech was piorun trzaśnie! Jeszcze się nie odwrócił, a już rozległy się grzmoty, zaczęły walić pioruny, a deszcz lał tak strasznie, że biesiadnikom nic już nie mogło pomóc. Ksiądz udał się w dalszą drogę. Następnego dnia jedynym śladem po karczmie był wielki, głęboki staw wypełniony czarną wodą. Nad nim rechotały żaby, a wokół wody rosły drzewa owocowe, rosnące wcześniej koło karczmy. Od tego czasu miejsce to nazwane zostało Żabim Dołem. Na środku stawu pływał stół z brewiarzem. Jak mówią najstarsi mieszkańcy, ten stół wypływa na powierzchnię wody wtedy, gdy zanoszą się na coś bardzo złego. Od tego czasu mieszkańcy stali się pobożniejsi i częściej zaczęli chodzić do kościoła.*

„Żabi Dół”

Łopowiyw wam rostomili ludkowie, jak za starych piyrwy niy było u nas jeszcze ani fary, ani kościoła. Wiekowy farorz szedł ze **Stanicy do Pilowic**, do chorego. A że go fest bolały szłapy, wlos do szynku, żeby pożyczyć se bryczka z koniym. Był post! Szynk łomało se niy rozwałdł łod tego gośnego larma, tańcowania i kwików! Farorz jak to łobejrzoł, to tak se znerwował, ale to tak se fest znerwował i pomyślał: „Diobolek se śmieje”. Z tego wszystkiego ciepnół na nich klóntwa: „Niych was pieron trzaśnie!”. Jeszcze se niy łobrociół, a tu z nieba jak zaczęły rómbać jasne gromy i pierony, a woda żnyła tak łokropnie, że tym biesiadnikom już, ale to nic niy pomôgło. Farorz udoł se w dalszo drôga. Na nastympny dzień po szynku niy zostało już nic, ino wielki, gymboki stof z czornôm wodôm. Łodzywały się żaby, a naobkoło wody rosły płonki, te kere rosły wele gospody. Bezto te miejsce ludzie nazwali Żabi Dół. Na pojszodku pływał stół z brywiorzym, co go farorzyczek zapomniół. A jak godajom starziki: stół wypływo w tyn czos, jak se mo coś fest złego zrobić. Łot tego czasu ludziska zaczęli fest lotać rzykać do kościoła.

O MIANACH MIAST I WIOSEK

Wierny pies

(opowiadanie mieszkanki Toszka)

*Przed wiekami dzisiejsze tereny **Toszka** porastały gęste i bogate w zwierzynę knieje. Wybrał się tam na łowy jeden z książąt opolskich. Polowanie było udane, służba już zносиła upolowane sztuki zwierząt, ciesząc się, że zapasów mięsnych wystarczy na długie miesiące.*

Zmęczony łowami książę przysiadł na polanie wśród paproci i już po chwili zmorzył go sen. Czuwał przy nim wierny pies. Nagle zakotłował się zagajnik i wprost na śpiącego księcia zaczęły biec dwa olbrzymie odyńce. Służba zamarła. Tylko pies stanął bohatersko w obronie swego pana i stoczył nierówną walkę z dzikami. Szamotanina obudziła księcia. Tymczasem ranne odyńce uciekły do lasu, a wycieńczony pies podpełznął do stóp swego pana i kilka minut później na jego rękach zakończył żywot. Pan gorzko zapłakał nad losem swojego czworonożnego przyjaciela, z którym bawił się od najmłodszych lat. Pochował go na polance, gdzie rozegrało się całe zdarzenie. Książę powróciwszy z udanych, ale jakże smutnych łowów, rozkazał na miejscu walki psa z dzikami postawić zamek i utworzyć osadę, którą nazwał Toszek - takie bowiem imię nosił jego wierny pies.

Wierny pies

Pierwszy kole **Tosza** rosły gęste lasy bogate we zwierzyną. Jedyn ze księżąt opolskich wybrał się do tych borów na gón. Gón się udoł, służba zносиła już ubite sorniki i chazoki. Wszyscy radzi byli, bo miynsa styknie na dugo. Książę urobiony gónem legnął się między paprocie, pod brzimym i usnął. Wachował przy nim pies. Narozki ze młodnika pokazały się dwie dzikie świny i kalupym pogoniyły na ksiyńcia. We służba keby pieron szczelół. Niy wiedzieli, co poczynić. Yno wierny pies skoczył i ciepnół się na dzikie świny. Larmo łobudziły ksiyńcia. Pogryzione świny uciykły do lasa, a pokwawiony pies doczołgoł się do pana i umrzył mu na rynkach. Pon poślimtoł się nad swoim psym – kamratym, z kerym bawił się jeszcze za bajtla. Pochowali psa na polance pod brzimym, kaj książę się zdrzymnął. Jak pan przyjechał nazod ze góna, kazoł we lesie wybudować zomek i osada Toszek – to skuli tego, że take miano miał jego wierny pies.

O Pilchowicach

(udostępnione przez Aleksandrę Czechowską-Gąbkę)

*Przed wiekami, przed dawnymi, rycerz Pilch otrzymał od księcia ziemię za swoją waleczność i odwagę. Osiedlił się na niej. Ponieważ w okolicznych lasach było bardzo dużo zwierzyny i pola dawały dobre plony, szybko pojawili się nowi osadnicy. Powstała wioska, którą od imienia założyciela nazwano – **Pilchowicami**. Inne podanie głosi, że w miejscu tym mieszkało wiele myszy, zwanych pilchami i stąd właśnie wywodzi się nazwa sołectwa. Jak było naprawdę? Któż to wie...*

*Jeden z właścicieli **Pilchowic** wracając z wojny został zaatakowany przez żmije. Odpędzał je jak mógł dzidą. Jego ulubiony koń został jednak tak mocno pokąsany przez gady, że zginął w wielkich boleściach. Jego pan zażyczył sobie, żeby dzidę ze złotym ostrzem i konia umieścić w herbie Pilchowic. Życzenie Pana zostało spełnione.*

Ło Pilchowicach

Za starego pierwszego rycerza Pilcha dostał łód swego ksiyńcia za waleczność i łopowoga ziymia. Łosiedlił się na nią. Nałobkoło w lasach było mocka zwierzyny, a pola były urodzajne, beztóż chneda prziszli osadnicy. Dziedzina kero powstała mianowała się – łód tego rycerza – **Pilchowice**. Nikierzi starzi ludzie godajôm, że w tym miejscu była mocka myszów. Ludzie nazwali ich pilchami. I stônd nazwa. I kto mo recht? Wto to wiy...?

Kieryś ze właścicieli **Pilchowic**, jak szoł nazod ze wojoczki, bôł napadniony bez źmije. Frônkoł dzidôm na kôżdo strôna, ale gady pogryzły mu kônia, kery umrzył we boleściach. Pôn sie zażyczyl, coby na herbie Pilchowic snodła sie dzida ze złotôm szpicôm i kôn. Tak tyż się stało.

Jak powstała nazwa Żernica (Eleonora Twardawa)

- | | | |
|--|--|--|
| 1. Szoł żebrok łod Gliwic
drugi z inszy strony,
podpierał se krykom,
bo bôł wygłodzony. | 2. Koždy miôł na plecach
rugzak zawieszony,
żeby mog se sronić
prowiant wyproszony. | 3. Łoba śli z nadziejom
i mijali pola,
jedno ich łonczyło
żebrakowo dola. |
| 4. Śli tak bardzo dugo,
aże se spotkali,
a po przywitaniu
„braćmi” se nazwali. | 5. Nie choć moj braciszku,
w strona skond /skąd / jo ida,
tam niedobrzy ludzie,
spotko Cie tam bieda. | 6. Choć tam som bogacze
i se dobrze majom,
to nawet krajczoszka
chleba Ci nie dajom. |
| 7. To ludzie pragliwi,
nie dajom niczego,
nie uprosisz u nich,
nawet żarcia psiego. | 8. Ludzie wypasieni,
czerwień bije z lic,
a ciebie braciszku
pedzom ty żer – nic . | 9. Nawróć se, podź sy mnom.
w inszo łokolica,
bo tam skond jo ida,
to, to jest Żer-nic-a . |
| 10. Nawrocił se bracik,
łoba razym pośli,
pomału dreptali,
do Szywołda dośli. | | |

Królowa węży (Andrzej Knapik)

W czasach naszych pra-pradziadków, żył w **Stanicy** leśniczy o przezwisku „Goj”.
Znany był on ze swojej chciwości i nieżyczliwości wobec ludzi i zwierząt.

Unikali go więc tak ludzie zbierający czasami w lesie chrust, jak i zwierzęta, które -
zdawało się instynktownie - wyczuwały z daleka jego obecność.

Wybrał się pewnej nocy Goj na polowanie, lecz bezskutecznie bląkał się po lesie do
świt. Kiedy już zły i zawiedziony postanowił wracać do domu, spostrzegł, że coś
olśniewająco błyszczący w paprociach. Pomyślał, że to odbijają się promienie wschodzącego
słońca w porannej rosie, lecz kiedy podszedł bliżej, zobaczył zwiniętego węża, którego głowę
zdobiła wspaniała, złota korona, z osadzonymi w niej, a mieniącymi się wszystkimi kolorami
tęczy, szlachetnymi kamieniami. Ucieszył się, gdyż łup wydawał się łatwy do zdobycia, a
wyglądał przy tym na wielce drogocenny. Kiedy jednak wyciągnął rękę, aby zabrać koronę,
wąż przemówił do niego ludzkim głosem:

- Człowieku, ja jestem królową węży, nie waż się zbliżyć do mnie, bo spotka cię sroga kara.
Jednak zaślepiiony chciwością Goj rzucił się na królową węży, aby ją zabić i ograbić z
korony. Królowa wydała okrzyk, po którym ze wszystkich stron lasu wypelzły niezliczone
ilości żmij i węży, które rzuciły się na Goja. Usiłował się bronić Goj, lecz jad zrobił swoje.

Znaleźli go rano staniczanie martwego na skraju lasu, który od tamtej pory nazywali „Gojowym lasem”. Do czasów współczesnych, na określenie tej części staniczkich lasów przetrwała nazwa „Goj”, a w miejscu, gdzie go znaleziono, postawiono drewniany krzyż, który stoi tam do dzisiaj.

Królówo żmiji

Downo i jeszcze downi we **Stônicy** żół feszter Goj. Łoszkliwy to bół chop: chamiaty, soroń łokropny i niyżyczliwy ludziôm a tyż i gowiedzi. Lepi bóło sie śnim niy spotykać, jak sie szło do lasa po chrôst, a i gowiydź chowała sie przed nim po krzokach i chlywikach, jak czuła, że idzie.

Keryś nocy wybroł sie Goj na gôn. Podarymnicy chodził po lesie. Nic niy uszczelół. Zły jak diosi chcioł już iść nazod, ale narozki uwidzioł, że cosik sie blyszczy we paprociach. Nojprzôd myśłoł, że to łod słôneczka, ale jak prziszoł bliży, ujrzoł zwiniynto żmija ze piyknôm, złotôm korônôm na gowie. Korôna aże blyszczała łod drogich kamyni. Uradowoł sie Goj, bo myśłoł, że teroski już sie gibko z bogaci, jak chapsnie ta korôna. Już po nia siôngoł, a tu gad łodezwoł sie ludzkim głosym: „Czowieku, jo jest królówo żmiji, ani sie nie łopowoż mie chytać, bo spotko cie srogo kara!”

Kaj tam! Goj sie już widzioł bogaty i ciepnył sie po korôna. Królówo wrzasła i ze koždy strôny wypelzły gady i ciepły sie na Goja. Broniół sie, ale gift zrobiół swoje. Goj pod niyżywy. Rano znodli go stôniczany na kraju lasa i łod tego czasu tyn kônszczek lasa nazwali „Gojowy las”. Do dzisiej stoi tam krzyż drzewiany.

O braciach Pisco

(na podst. opowieści mieszkańca Pyskowiec)

Gdzie był ich dom rodzinny, nie wiadomo. Możliwe, że gdzieś na Śląsku, a może w Wielkopolsce. Historia owa o tym nie mówi. Starzy ludzie jedynie powiadają, że bracia wywodzili się ze znaczącego rodu. Żyli raczej skromnie i od najmłodszych lat przyzwyczaili się do niewygód, gdyż tego wymagała ciągła gotowość do walki z najeźdźcami, którzy z zachodu stale napadali na ich ziemię. Bracia bardzo się kochali i stale przebywali razem. Każdy był gotów oddać życie za drugiego. Wszyscy trzej wyrosli potem na dzielnych i sławnych rycerzy, a ich imiona przez wiele lat wymawiano z szacunkiem i stawiano za wzór męstwa i odwagi. Dodatkowej sławy przysporzyły im czyny wojenne. Gdy wróg napadł na kraj i wszędzie płonęły domostwa, bracia Pisco skrzyknęli okolicznych wojów, uzbroili nawet pachołków i inne pospólstwo i na ich czele nocnymi, niespodziewanymi podchodami raz po raz nękali najeźdźców, nie dając im chwili odpoczynku. Wkrótce też, chcąc działać na szerszym froncie, rozdzielili swe siły. Stracili wprawdzie z sobą kontakt, ale nieprzyjaciół, atakowany raz z tej, to znów z innej strony, pospiesznie zaczął się wycofywać. Oddziały braci Pisco ścigały go aż poza granice kraju. Gdy zapanował spokój, każdy z rycerzy pragnął jak najszybciej wrócić do domu, by dowiedzieć się o losie swych najbliższych. Pierwszy dotarł tu najstarszy, ale gdy zobaczył dymiące jeszcze szczątki dworu, zostawił służbę i udał się na poszukiwanie braci. „Drożsi mi oni niż dom rodzinny. Wrócę tu tylko z nimi! A jeśli nie żyją? Nie, to niemożliwe – starał się odpędzić złe myśli. – Tego bym na pewno nie przeżył. Muszą być cali i zdrowi. Z pewnością błędzą gdzieś jeszcze wśród rozległych borów” – pocieszał sam siebie. Przejechał wzdłuż i wszerz olbrzymi teren, wypytyując spotkanych po drodze ludzi o los swych braci. Ten i ów, słysząc wiele o dzielnych rycerzach, radził mu udać się na zalewiska rzek: Odry, Kłodnicy i Dramy. Tam najdłużej trwały walki, choć i lud okoliczny na równi z wojami stawiał czoła oddziałom nieprzyjaciela. „Gościnni są tam mieszkańcy – dodawano. – Twoi bracia, panie, znaleźli z pewnością wśród nich wielu

serdecznych przyjaciół”. Posłuchał tej rady rycerz i dosiadłszy konia, galopem ruszył we wskazanym kierunku. Rumak, któremu widocznie dawała się we znaki długa wędrówka po leśnych wertepach, wywiódł go na prastary szlak solny, prowadzący z Wrocławia do Krakowa. Droga była tu równa, chód konia miarowy i spokojny. Zmęczony jeździec zdrzemnął się na chwilę, ale z nagłą dobiegły go jakieś głosy. Nim oprzytomniał, kilka par rąk wśród serdecznych okrzyków ostrożnie zdjęło go z konia.

„Bracie kochany! – usłyszał jakby przez sen. - Znow jesteśmy wszyscy razem! Dla uczczenia naszego spotkania założymy tu gród i nazwiemy go naszym imieniem. Niech to będą Pyskowice...”. I tak się też stało!

Ło bratach Pisco

Kaj bół jich dôm rodzinny – tego żodyn niy wiy. Mono kajsik na Śląsku abo we Wielkopolsce. Starzi ludzie godajôm, że braty mieli bogatych łojców. Sami żyli skromnie i przybadali do niewygód, bo sztyjc musieli być fertig na wojaczka, coby brônić swoji ziemie przed rapczykami. Braty fest sie przoli i zawdy trzymali sie do kupy. Jedyn za drugigo oddolby życie. Wyrośli bezto na silnych rycerzy, a ich miana i czyny ludzie mieli fest wzocy. Wiedzieli tyż ludzie ło czynach bratów na wojnach. Kedyś niyprzijiociel napod na kraj, wszyndy się polyło i loła sie krew. Bracia Pisco zebrali wojów, kamratów, uzbrojyli pachółków i we nocy napadli na rapczykow. Żeby bôło jich lepi loć – rozdzielili się. Prali teraz tych gizdów ze trzech strôn, aż niyprzijiociel poszoł tam, skônd prziszoł. Po wojaczce koždy rycerz chcioł jak nojpryndzy przisć nazod do dôm i spotkać się z bratami. Piyrszy przijechoł nojstarszy i jak uwidzioł zburzony i jeszcze dymiôncy dôm, pojechoł szukać braci. „Bardzi mi sôm bliscy braty niż dom. Nazod przijada tu yno śnimi. To niy moge być prawda, że niy żyjom! Tego bych niy przeżôł! Braty muszôm być całe i zdrowe. Mono kajsik bamoncôm po lesie i niy mogôm trefić” – tak som do sia godoł. Rozpytywoł ludzi. Kozali mu pojechać na zalywiska rzyk: Odry, Kłodnicy i Dramy, bo tam nojduży prali sie wojoki.

„Ludzie, co tam miyszkaajôm, sôm życzliwi i szczodrzy. Twoje braty znojdli tam kamratów, co im pomôgli” – godali ludzie.

Usuchnôł brat nojstarszy ludzi, fuknôł na kônia i pojechoł. Kôn tyż umynczony szukaniym wykłudziôł go na prastary szlak solny, kery prowadziôł ze Wrocławio do Krakowa. Drôga bôła rôwno, a kôn szoł poleku, a rycerz już drzymoł. Narozki usłyszoł głosy. Nim się łobudziôł i jeszcze bół cołki bamontny, już go braci sijnym z kônia i łokropicznie byli mu radzi. Pedzieli, że na pamiôntka spotkanio założôm tu gród. Bydzie się nazywoł na cześć braci Pisco – Pyskowicami. Niyh to bydom **Pyskowice**. I tak tyż się stało.

O powstaniu Rudzińca

(legenda prezentowana podczas IV Konkursu Wiedzy o Powiecie Gliwickim)

Legenda mówi, że w lasach nad Kłodnicą nasi przodkowie wydobywali rudę potrzebną do wytopu żelaza. Pomagał im w tym jednorożec, który kopał zawsze tam, gdzie znajdowała się ruda. Robotnicy czekali na jego znak. Pewnego razu jednorożec, zamiast jak zwykle kopać, ze smutkiem powiedział: „Rudy nic”. Zawiedzeni robotnicy przenieśli się zatem w inne miejsce, a ci, którzy zostali, osiedlili się, zaczęli uprawiać rolę i nazwali swoją osadę „Rudziniec”.

Skônd sie wziôn Rudziniec?

Za starego piyrwy nam Kłodnicôm bôły przepiyrkne lasy. Nasze starziki wydobywali downo, downo tymu ruda potrzebno do wytopu żelaza. Pomogoł im w tym jednorożec, kery kopoł zowdy piyrszy tam, kaj bôła ruda. Robotniki sztyjc czekali na jego przizwoleni. Roz jednorożec narozki pedzioł: „Rudy nic”. Robotniki – wol niy wol – musieli sie przekłudzić na inksze miejsce. Ci co łostali tu – zaczli być pampôniami, a wsi dali miano „**Rudziniec**”.

O powstaniu Sośnicowic

(legenda prezentowana podczas IV Konkursu Wiedzy o Powiecie Gliwickim)

*Bardzo dawno temu pewien książę z rodu Piastów wybrał się na polowanie. Tym razem do jednego ze swych lasów w okolicach Gliwic. Podczas polowania, w pogoni za zwierzyną, odłączył się od towarzyszących mu rycerzy i zabłądził w ogromnym sosnowym lesie. Pomimo podjęcia szeregu prób, książę nie mógł wydostać się z pechowego lasu. Wreszcie pod wieczór przybył na rozległą polanę. Na jej środku rosła wielka sosna, a pod nią znajdowała się uboga chata drwala zwanego Sośniesz. Na przekór swego niskiego stanu i niewielkim możliwościom przyjął on gościnnie księcia, przygotował mu nocleg, a o świcie pomógł odnaleźć drogę powrotną. Owo serdeczne przyjęcie sprawiło że książę polubił Sośniesza i leśną polanę, na której mieszkał, stąd często jeszcze wracał w te strony. Po śmierci drwala, na jego pamiątkę, założył tutaj osadę, którą od imienia jej pierwszego mieszkańca nazwał **Sośnicowicami**. Troska księcia o tę miejscowość miała być tak duża, że nawet w chwili swej śmierci nakazał swoim następcom, aby otaczali ją szczególną opieką.*

Skônd sie wziyny Sośnicowice?

Downo i jeszcze downi jedyn ksiônże z rodu Piastów wybroł się na gôn do lasów kole Glywic. Tak sie zagnoł za zwierzynôm, że sie stracił we srogim sosnowym lesie. Fest się staroł, ale niy umioł sie wydostać z tego lasa. Pod wieczôr wyloz na srogo polana. We pojszczotku rosła wielko sosna. Pod sosnôm rycerz uwidzioł ubogo chatka siôngorza, co mianowoł się Sośniysz. Sośniysz ugościł ksiyńcia jak môm nojlepi, narychtowoł mu spani, a nad ranym pomôg mu snojść droga nazod. Fest bôł rod z tego ksiônże i łod tego czasu łowdy kedy przyjyżdżoł na gôn w te strôny. Po śmiyrce siôngorza ksiônże założył osada i nazwoł jôm **Sośnicowice**. Tak się fest staroł ło to miejsce, że swoim nastympcôm co po nim erbli jego majôntek, kozoł po swoji śmierci ło nia dobrze sie starać.